Nr. 173. Lwów — Wtorek dnia 1 Sierpnia. Rok 1905.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h. w Niemczech . . . 3 „ — „ w innych Państwach . . 4 „ — „ Za zmianę adresu dopłaca się 40 „ Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k. Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h. na prowincyi . . . . 12 h. Numera z poprzednich dni po 20 h.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATY MIEJSCOWE przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Schulowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h. W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo 4 h. tłustym garmondem . . . 6 h. koresp prywatne „ „ 8 h. Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . 60 h. Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k. Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h.

Dziś: św. Piotra w Ok. — Makryny. Jutro: NMP. Anielskiej — Ilyi Pror.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Rękopisów Redakcya nie zwraca.

Wschód słońca o godz. 4 m. 41. Zachód „ „ 7 m. 29.

Długość dnia godzin 14 m. 48. Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Walka z naszym przemysłem.

We właściwem słowa znaczeniu, wcale jeszcze nie mamy fabrycznego przemysłu. W całym kraju, posiadającym więcej ludności, niż Belgia, Szwajcarya, Saksonia i niektóre inne niezależne państwa, w których fabryka przy fabryce, mamy zaledwie kilka średniej wielkości zakładów przemysłowych, dźwigniętych po zaciętej walce z potężnymi konkurentami, utrzymywanych w ruchu z ogromnym wysiłkiem pracy i ofiarności, a produkujących tylko dla najbliższej okolicy. Jak jedna jaskółka nie zapowiada jeszcze wiosny, tak te nasze zakłady nie tworzą przemysłu. One jedynie wskazują, że mieć go możemy, dodajmy zaś, że chcemy go i żywimy niewzruszone przekonanie, iż on powstanie i rozwinie się — oby jak najpiękniej! Ale do tego jeszcze daleko. Lecz choćiaż daleko, już przemysłowcy austryaccy szykują się do zaciętej z nim walki. Rozwinęli agitacyę w swych związkach, w izbach handlowo-przemysłowych, w dziennikach; już wzywają rząd, aby im w tej walce pomagał i stłumił ów — jak oni się wyrażają — „egoizm ekonomiczny w Galicyi, która sztucznie hoduje przemysł własny, co jest zamachem na normalny rozwój przemysłu austryackiego."

Na całym świecie nikt się nie zrzeka zdobyczy nawet wtedy, jeżeli uznaje, że posiadł ją prawem kaduka. Nie czynią tego narody i rządy, nie czynią także i przemysłowcy. O rynki zbytu bywają nawet wojny z państwami, które chcą się uwolnić od obcej produkcyi. Więc akcyi przemysłowców austryackich przeciw naszemu przemysłowi nie możemy uważać za coś niebywałego, za jakąś arogancyę, za niesłychaną brutalność, zdumiewa nas tylko gnuśność ich, z jaką uronili rynki bałkańskie, lewantyńskie, a nie pozyskali innych nigdzie na świecie, jednocześnie zaś głoszą krucyatę przeciw Galicyi! To tylko dowód ich nieudolności, dowód, że nie mają prawa mówić o „normalnym rozwoju swego przemysłu" dowód wreszcie nieszczęścia, do jakiego doprowadziły monarchię jej wewnętrzne niesnaski.

Na agitacyę przemysłowców austryackich zwracaliśmy pilną uwagę, nie uroniliśmy nic z tego, co oni mówili, zostawiając sobie głos na sam koniec. Dziś widzimy, że wszyscy oni kręcą się w kółku pospolitych żalów, przeplatanych gromkimi okrzykami: „Polizaj! Polizaj!" i odrobiną paszkwilów. Nic już nowego i godnego uwagi nie powiedzą. P. Rudolf Kitschelt, poseł do Rady państwa i wice-prezes wiedeńskiej izby handlowo-przemysłowej, prawi to samo, co p. August Denk, prezydent dolno-austryackiego Związku przemysłowego, a p. Oskar Günther, wice-prezydent szląsko-morawskiego Związku górniczego, powtarza słowa tamtych dwóch z dodaniem zmyśleń, które już sprostował p. Zieleniewski, o czem donieśliśmy w sobotnim numerze naszego pisma. Wszyscy oni głoszą, że „sztucznie hodujemy przemysł", nie z ekonomicznej potrzeby, ale z pobudek politycznych i narodowych, a że nasze władze popierają ten ruch ze szkodą skarbu i każdej tworzonej rzeczy: ze szkodą skarbu, bo drożej za wszystko bierzemy, naprzykład kajety szkolne, wyrabiane w Galicyi, a zalecane przez władze, wrzekomo są droższe od wiedeńskich, co jednak nieprawda; ze szkodą rzeczy tworzonych, bo nasze konstrukcye żelazne, narzędzia, wagony i t. d. są gorsze od robionych w innych krajach austryackich, co także więcej niż nieprawda, bo nader często bywa odwrotnie. Wszyscy wymienieni wyżej panowie domagają się od rządu, aby naszym władzom krajowym, nawet magistratom, zakazał popierać przy licytacyach przemysłowców krajowych kosztem dobroci i ceny zamawianych dostaw.

Jak widzimy, postawili oni kwestyę niewłaściwie, bo co prawda, nie mogli inaczej. Nikt u nas nie popiera rzeczy gorszych za droższe pieniądze. Przemysłowcom austryackim chodzi o to, aby wogóle zduszony był powstający przemysł galicyjski i żeby nasz rynek dla nich pozostał. Życzenie wprawdzie bardzo zrozumiałe, ale trudno się popisywać takim egoizmem. Łatwiej oczerniać nasze wyroby.

Państwo, jako ekonomiczna całość, powinno dbać o to, aby sztucznie tworzone gałęzie pracy — tworzone z pobudek politycznych, czy narodowych — nie szkodziły gałęziom pracy już istniejącym, powstałym w sposób naturalny, a takim, które pochłonęły wielkie kapitały, dają utrzymanie wielu ludziom i znacznemi podatkami zasilają skarb państwa. Tak być powinno, czy to się komuś podoba, czy nie.

Zobaczmy więc, czy chcemy stworzyć nasz przemysł z pobudek politycznych, albo z szowinizmu, czy też z powodów ekonomicznych, które jedynie usprawiedliwiają wszelkie, nawet najusilniejsze popieranie rodzącego się przemysłu.

Przedewszystkiem przemysł austryacki obsługuje nasz rynek po prostu niegodziwie. Wszakże ten przemysł wytwarza osobno podlejsze gatunki towarów i dał im nawet specyalną nazwę „galicyjskich", a sprzedaje nam je nietaniej, często drożej, niż dobre towary w innych austryackich krajach. Przemysł austryacki stale nadużywa monopolu jaki posiada w Galicyi dzięki protekcyi dawnych biurokratycznych i centralistycznych rządów. Jednocześnie ten przemysł nieżyczliwie traktuje nasze surowce i produkta rolnicze; woli brać je w Rosyi, Rumunii, Serbii, niż od nas, a i w tem popierały go dawne rządy taryfami kolejowemi, brakiem wagonów, nieregularnymi przewozami, opieszałą służbą telegraficzną, wielu sztuczkami, z których coś niecoś dotąd zostało. Oczywiście, takie postępowanie uboży Galicyę, długi jej rosną, podatków zalega coraz więcej, a ilekroć pojawi się w Radzie państwa wniosek o jakąś inwestycyę w Galicyi, zawsze powstaje krzyk, że to kraj bierny. *Nowa Presse*, która zamieszcza teraz litanię głosów fabrykantów austryackich, dowodzących, że przemysł galicyjski podetnie ich przemysł, pierwsza i najgłośniej zawsze krzyczy, żeśmy krajem biernym. Jeżeli tak dalej będzie trwało, jak jest od przeszło wieku, to już niebawem naprawdę Galicya stanie się bierną, aby zaś tego uniknąć, musi wytworzyć swój przemysł, przynajmniej na własne potrzeby, przynajmniej dla przeróbki swoich surowców. To niezaprzeczenie wzgląd ekonomiczny, nie zaś polityczny, ani szowinistyczny.

Spojrzmy w inną stronę. Ludność wzrasta, proletaryatu rolnego coraz więcej, a inteligentnego bez liku. Emigracya wzmaga się z roku na rok, a wszędzie jest utrudniona. Niemcy nie wpuszczają naszych robotników, co szowiniści austryaccy z *Nową Pressą* na czele uważają za godne pochwały i naśladowania przynajmniej w stosunku do naszej inteligencyi, szukającej zajęcia w innych krajach austryackich. Anglia zamyka się od ubogich immigrantów, a Stany Zjednoczone stawiają im coraz większe trudności. Wobec tego, w interesie społecznego ładu i spokoju, musimy stworzyć jakieś zatrudnienie dla dziesiątków tysięcy ludzi, którzy muszą pozostać w kraju, a zajęcia nie mogą w nim znaleźć. Takie zatrudnienie da przemysł. Znowu tedy nasza dążność do niego wynika nie z politycznych pobudek, nie z szowinizmu, ale z ekonomicznej konieczności.

Dowodem, że się nie kierujemy szowinizmem, jest to, że bardzo chętnie powitamy każdego niemieckiego, czeskiego lub morawskiego fabrykanta, który zechce założyć w naszym kraju filię swej fabryki i da w niej pracę naszym ludziom.

Musimy więc mieć przemysł bodaj tylko na własne potrzeby. To dla nas kwestya życia, — kwestya nietylko ekonomiczna, ale także społeczna. Walki o to z nikim nie chcemy, ale wydaną nam bez wahania przyjmiemy z tem głębokiem przekonaniem, że stawiane nam przeszkody wzmocnią nasz zapał, powiększą energię, wytworzą dzielne charaktery, — zbliżą nas do celu, którego nie możemy i nie mamy prawa się wyrzec.

Wieści z Rosyi.

W czasie znowu nastał silny prąd reakcyjny, czynownictwo występuje z dawną bezwzględnością, niekiedy nawet wyzywająco, zawiesiło wykonanie niektórych już przyznanych ukazów, a odroczyło na czas nieograniczony pracę nad zapowiedzianemi reformami. Bezwzględność czynownictwa objawia się w mnóstwie rewizyj domowych i aresztowaniach; w Petersburgu w ciągu jednej nocy uwięziono 220 osób, posiadających egzemplarze niedozwolone; równocześnie w Moskwie zrewidowano mieszkania i zabrano wszystkie papiery wielu profesorów uniwersytetu, adwokatów, lekarzy, bogatych kupców, między innymi zaś i u tak wybitnych osobistości, jak prezes moskiewskiego ziemstwa i przewodniczący komitetu kongresowego Gołowin, jak wice-prezes kongresu ziemstw Kokoszkin i jak szef biura kongresowego Polner; odbyto domowe rewizye i uwięziono wiele osób także w różnych miastach prowincyonalnych i w wiejskich dworach. Przypisują tę energię nowemu dyrektorowi policyi tajnej, niejakiemu Ratszkowskiemu, który stał na czele zagranicznych szpiegów rosyjskich, a został powołany na swe stanowisko przez jeneralnego gubernatora stolicy jenerała Trepowa, który zdobywa coraz więcej władzy i już uchodzi za dyktatora. Ukazy o tolerancyi religijnej, o prawach językowych i wolności zakładania szkół prywatnych istnieją już tylko na papierze; okólnikiem polecono gubernatorom nie wykonywać ich aż do nowego rozporządzenia. Wszystkie projekty reform, nawet bułyginowski projekt ziemskiego soboru złożono do archiwum. Zawieszono niektóre wydawnictwa. Dano dymisyę jeneralnemu gubernatorowi moskiewskiemu, następcy zamordowanego w. ks. Sergiusza, p. Kozłowowi za łagodność, a na jego miejsce posłano jenerała Durnawo, przyjaciela i pomocnika Plehwego, szefa rady miejskiej petersburskiej po zniesieniu jej samorządu przez Plehwego, a przedtem prezesa moskiewskiego komitetu panslawistycznego. Tę nominacyę słusznie zrozumiano w Rosyi jako prowokacyę społeczeństwa, żądającego zmiany ustroju państwowego.

Ogół odpowiedział na tę reakcyę rozruchami, strejkami, odezwami rewolucyjnemi i zapowiedzią nowych zjazdów, — tajnych, jeżeli jawne będą zabronione, a urządzanych przez nowych delegatów, jeżeli wybrani dotąd będą uwięzieni. Rozruchy krwawe odbyły się w Niżniem Nowogrodzie, gdzie zginęło kilkunastu ludzi, a kilkudziesięciu ciężko zraniono. Rozruchy w Rydze skończyły się tylko guzami, ale publicznie rozdarto tam i podeptano nogami portret carski i noszono tablice z napisami „Precz z carem!" Strejki ogłoszono w Petersburgu, w Tule, w guberniach nadwołżańskich i w gubernii Stauropolskiej. Po całej Rosyi rozrzucono rewolucyjną odezwę, w wielu miastach ogłoszono ją plakatami, a brzmi ona tak: „Narodzie rosyjski! Godzina wyzwolenia się z niewoli wybiła! Krwawe wypadki w wielu miastach, zbrojne wystąpienia ludu pracującego i marynarzy, nasze jęki, nędza, nasze niezliczone krzywdy, wszystko woła: „Powstańcie!" Nie można dłużej czekać, bo i nie ma czego. Niech walka rozstrzygnie: albo wolne życie, albo śmierć. Liczyliśmy wszyscy na cara, lecz nas mordowano. A wiecie dlaczego? Bo swobody nie można wyżebrać, trzeba ją wziąć siłą. Zbawienie Rosyi tylko w rewolucyi. Ona nas uwolni od słabości, która się uwydatniła w wojnie z Japonią, od brutalnej samowoli czynowników, od łapowników i katów narodu, od carskich zdzierców, którzy zabierają nam wszystko, a dają tylko nahajki i kajdany. Nie bójcie się stanąć do ostatniej walki z samowładztwem: wojsko z nami! A więc, obywatele, do broni! Do broni! Niech żyje Rosya, niech żyje rewolucya!"

Ten zwrot ku reakcyi, która taki odruch znalazła w narodzie, powszechnie przypisują zjazdowi cara z cesarzem Wilhelmem. O międzynarodowem znaczeniu tego zjazdu jużeśmy poprzednio podali wszystkie wiadomości, tu więc tylko jeszcze dodamy, że znajdują one potwierdzenie w różnych doniesieniach. Wspomnieliśmy byli także o tem, że cesarz Wilhelm starał się o zgodę cara na objęcie tronu norwezkiego przez Hohenzollerna. Do tej wiadomości dodają teraz dzienniki szwedzkie i angielskie, że cesarz Wilhelm przyrzekł carowi tak zmienić północną granicę Norwegii, aby Rosya otrzymała jeden dobry port na morzu Północnem, nadto zaś przyrzekł mu zamknąć Bałtyk dla floty angielskiej, aby ona nigdy nie mogła na to morze wpłynąć, jak nie może na Czarne, ponieważ zaś potrzeba na to zgody Danii, przeto dziś cesarz Wilhelm odpływa z Gdańska do Kopenhagi.

Ale oprócz takiego międzynarodowego znaczenia, ma zjazd cara z cesarzem Wilhelmem jeszcze inne, które można nazwać policyjnem. Są o tem takie doniesienia: wedle kolońskiej *Volks Ztg.*, postanowiono na zjeździe działać wspólnie przeciw ruchowi rewolucyjnemu. Dziennik ten pisze: „Dotąd w sferach monarchicznych stale uważano Rosyę za „roche de bronze" (skałę spiżową) europejskiego porządku, wszelako bunt „Potemkina" i wiele innych pokrewnych wypadków pokazało, że owo zapatrywanie jest mylne. W Berlinie spostrzeżono, że rozwój ruchu rewolucyjnego w Rosyi doprowadzi do zajść, które się przeleją przez rosyjską granicę, co dla Niemiec nie może być obojętne. Uznano, że dla tronów niebezpieczeństwo może być wielkie, więc obmyślono organizacyę wspólnej straży ogniowej, która będzie gasiła europejską rewolucyę. Ten plan, między innymi planami, powiózł cesarz Wilhelm do Björkö. Tak mówią w sferach godnych zaufania".

Do tej wiadomości *Köln. Volks Ztg.* zupełnie się dostraja doniesienie, które z Wiednia otrzymał paryski ministeryalny dziennik *Temps*. Wedle tego pisma, cesarz Wilhelm i car telegrafowali z Björkö do Cesarza Franciszka Józefa. W swojej depeszy mówił cesarz niemiecki, że „Niemcy są niewzruszenie wiernym sprzymierzeńcem Austryi i że zjazd w Björkö ma na celu zabezpieczenie spokoju w Europie pod hegemonią trójprzymierza, zwłaszcza zaś Niemiec i Austryi". Cesarz Franciszek Józef odpowiedział na to bardzo ostrożną depeszą, w której tylko sparafrazował telegram Wilhelma II. Car zaś zatelegrafował do Cesarza Franciszka Józefa, że niewzruszenie trwa przy układzie co do spraw bałkańskich, a potem dodał, że za możliwe i pożądane uważa wskrzeszenie przymierza trzech cesarzy i świętego sojuszu.

Święty sojusz! Któż nie wie, czem on był za czasów Metternicha! Któż z dziejów nie zna pęt, jakie on nałożył był na Europę i jak te pęta zrywano w r. 1848-ym!

Wiedeńskie dzienniki zaznaczają, że wprawdzie byłoby bardzo naturalne, gdyby Wilhelm II zatelegrafował do sprzymierzeńca o znaczeniu zjazdu w Björkö, ale że w sferach politycznych wiedeńskich nic nie wiadomo o takich depeszach, jakie podał *Temps*. W każdym razie, ostrą reakcyę w Rosyi przypisują zjazdowi w Björkö.

Korespondencye.

Wiedeń 29 lipca.

(Wynurzenia pewnego polityka czeskiego w sprawie przyszłych wyborów do Rady państwa. Sezon martwy. Posłowie Chin i Japonii).

(y). Jakkolwiek kadencya obecnej Rady państwa trwać ma jeszcze przeszło rok, mimo to już teraz, zarówno w obozie niemieckim, jak i czeskim, przedewszystkiem zaś w tym ostatnim, zajmują się żywo najbliższą kampanią wyborczą i czynią do niej przygotowania. Czasopismo *Slavische Correspondenz* zamieszcza w tej kwestyi następujące wynurzenia jednego z wybitnych polityków młodoczeskich. Oświadczył on, że jeśli stosunki parlamentarne nie zaognią się, w takim razie nowe wybory rozpisane zostałyby z początkiem jesieni 1906, klub młodoczeski liczy się jednak i z tą ewentualnością, że może to nastąpić i wcześniej, np. zaraz po Nowym Roku, gdyby w najbliższej sesyi Rady państwa nie wszystko szło po myśli rządu. W Czechach zanosi się na bardzo gorącą walkę wyborczą między stronnictwem młodoczeskiem a agraryuszami czeskimi. Kompromis między temi dwoma stronnictwami jest niemożliwy, wobec tego, że nie chcą go agraryusze nawet, gdyby im młodoczesi dobrowolnie odstąpili kilka mandatów kuryi włościańskiej. Z kuryi tej posłują obecnie niektórzy najwybitniejsi koryfeusze obozu młodoczeskiego, jak: Dr. Pacak, Dr. Gregr, Dr. Dyk, Dr. Lang, Dr. Dworzak. W ogóle spodziewać się należy ważnych zmian osobistych w składzie reprezentacyi czeskiej. I tak np. zanosi się na to, że ani Dr. Herold, ani Dr Gregr nie zasiądą w przyszłej kadencyi w Radzie państwa, Gregr bowiem oświadcza, że jest za stary i pod żadnym warunkiem nie przyjmie więcej wyboru, zaś Dr. Herold piastuje urząd członka Wydziału krajowego, a od niedawna ustanowił Sejm czeski zasadę, że piastowanie mandatu poselskiego do Rady państwa nie da się pogodzić z piastowaniem urzędu członka Wydziału krajowego. Z otuchą w zwycięstwo przygotowują się do nowej kampanii wyborczej także narodowi socyaliści czescy, między którymi rej wodzą pp.: Choc, Fresl i Schnel. Frakcya ta doznawała przy ostatnich wyborach życzliwego poparcia ze strony młodoczechów, obecnie będzie przez nich zwalczana. — Z drugiej strony coraz silniej występuje wśród ludności czeskiej prąd, dążący do zjednoczenia wszystkich posłów czeskich w jednym klubie i kto wie, czy pod tem hasłem nie będą się odbywały nowe wybory. Klub taki dawałby swym członkom zupełną swobodę działania w kwestyach ekonomicznych i religijnych a jedynie w sprawach narodowych obowiązywałby do solidarności. W tym kierunku odbywają się już teraz gorliwe starania.

Sezon martwy daje się tu odczuwać w całej pełni. Całe wykwintne towarzystwo rozjechało się na wszystkie strony świata szukać wytchnienia u rozmaitych wód, a z całego ciała dyplomatycznego tylko dwaj przedstawiciele dalekich państw wschodnio-azyatyckich, tj. posłowie japoński i chiński, pozostali na swych posterunkach i siedzą w Wiedniu. Poseł japoński Mekino wysłał swą żonę w towarzystwie żony swego pierwszego sekretarza legacyjnego pani Nischi, będącej córką największego z japońskich mężów stanu, margrabiego Ito, do pobliskiego Neulangbachu, sam zaś pracuje w swem biurze od rana do wieczora, nic sobie nie robi z kanikularnych upałów. Dotrzymuje mu towarzystwa jego chiński kolega Yangczeng, który wżył się już zupełnie w stosunki tutejsze i z dumą nazywa swego jednorocznego synka małym Wiedeńczykiem, bo tutaj się urodził. Wieczory spędzają obaj egzotyczni dyplomaci zazwyczaj w jednej z restauracyj ogródkowych w Praterze, przyczem poseł chiński ciągnie piwo jak stary piwosz wiedeński. W ubiegły wtorek zaszli na kolacyę do ogrodu Sachera w Praterze, gdzie właśnie zabawiało się grono młodych arystokratów, zaproszone przez młodego księcia Windischgraetza, syna prezydenta izby panów, który właśnie tego dnia zdał drugi egzamin państwowy. Dowiedziawszy się o tem, że posłowie chiński i japoński siedzą przy jednym ze stołów, zaprosił ich książę Windischgraetz, by zechcieli wziąć udział w jego rado-

1)

Tadeusz Rittner a Władysław Orkan.

Zdaje się, że nie ma jeszcze w całej literaturze świata dzieła, którego tytuł opiewałby: „Filozofia przypadku", a którego treścią byłoby ujęcie w karby ludzkiej logiki najnielogiczniejszego czynnika w ludzkiem życiu, mianowicie: przypadku, trafu. Nauki ścisłe, jako że wrogo usposobione są względem wszelkich wybryków i niesforności, ochraniają ludzkość przed wykroczeniami przypadku, wypierając go powoli, krok za krokiem ze wszystkich podległych berłu swemu dziedzin. Dziś spotkać już można na świecie tu i ówdzie optymistycznie usposobionych uczonych, wierzących święcie w nadejście epoki, w której słowo: „przypadek", zniknie ze słownika ludzkiego, albowiem z postępem nauk wszystko da się przewidzieć i z góry obliczyć na podstawie psychologicznych, fizykalnych, fizyologicznych, ekonomicznych i innych danych naszego doświadczenia.

Tak, nauka i przypadek, to pojęcia biegunowo sobie przeciwne, to dwie potęgi, toczące z sobą ustawiczny, zacięty bój.

Zupełnie odmiennie odnosi się do przypadku literatura piękna, poezya. W literaturze odgrywa przypadek rolę bardzo uprzywilejowaną. Posługują się nim lepsi i gorsi autorowie, czasem i geniusz nim nie pogardzi. Rozmaitość życiowych sytuacyj wytwarza różnorodne przypadki. To też i literatura zna grube, nieokrzesane, brutalne przypadki w postaci spadających z dachów belek lub cegieł, bezrozumne i bezduszne w rodzaju osławionego „deus ex machina" — i przypadki, co to przemawiają do duszy niby ideowy symbol, wskazujący dyskretnie w tajemniczą, niepojętą dziedzinę ludzkich przeznaczeń.

Stosownie do hierarchii przypadków literatura rozmaicie nimi rozporządza. W stosowaniu przypadków okazuje się pomysłowość i smak autora. Złym jest autor, który używa przypadku jako rozwiązania konfliktu psychologicznego, choć się to nieraz nawet i w życiu zdarza, iż byle jaki traf przecina brutalnie najsubtelniejszą sieć ludzkich uczuć, myśli, zamiarów, usiłowań i t. d.

Ale najgłupszy choćby przypadek umiejętnie wyzyskany dać może autorowi sposobność do rozwinięcia wielkiego bogactwa szczegółów sytuacyjnych, psychologicznych, opisowych, nastrojowych i innych.

W ostatnich czasach pojawiły się w naszej literaturze prawie równocześnie dwa utwory osnute na tle nieszczęśliwych wypadków, mianowicie: „Mur między nami" Tadeusza Rittnera i „Przykry moment" Władysława Orkana. W obu tych utworach nieszczęśliwy wypadek jest dla autora tylko koniecznym warunkiem do wysnucia pewnych psychologicznych faktów. Tak p. Rittnerowi jak p. Orkanowi szło o pokazanie bez osłonek myśli i uczuć, jakich ludzie doznają pospolicie na wieść o nagłej śmierci swego bliźniego.

Bohaterem opowiadania p. Rittnera jest literat Ernest, którego wskutek nieszczęśliwego wypadku przejechał tramwaj elektryczny. Gdy się wieść o nieszczęściu rozeszła po mieście, przypuszczano, nie! wiedziano ogólnie, że „sławny Ernest" popełnił samobójstwo. Ze wszystkich tych osób zaś, które z samobójcą były bliższym jakimś stosunkiem związane, każda odczuwała nietyle ból i żal, ile zadowolenie z tego, iż ona jedynie zna prawdziwy powód samobójstwa sławnego literata.

Tak żona bowiem, jak i przyjaciel adwokat, jak aktor, który grywał pierwszorzędne role w dramatach Ernesta, jak wreszcie i pewna młoda mężatka Lona, w której się Ernest kochał — wszyscy oni pewność co do powodu samobójstwa opierali na niektórych rzeczywistych faktach z życia wrzekomego samobójcy. Oto kilka scen, poprzedzających bezpośrednio nieszczęśliwy wypadek.

Adwokat pana Ernesta, który przechadzał się ze swoim sławnym klientem całą godzinę w parku miejskim, spotkał po rozstaniu się z towarzyszem, panią Lonę.

— Dobry wieczór, pani. Dokąd? Bo ja śpieszę się do domu. Pani wie, na Mazowiecką. Idziemy razem? Nie? Poszedłbym kilka kroków z panią, ale straciłem i tak przez Ernesta dwie godziny czasu, a moje akta czekają.

Imię Ernest zrobiło oczekiwane wrażenie.

— Przez kogo? — spytała pani Lona głosem niepewnym.

— Przez Ernesta. Nie chciał mnie puścić. Musiałem z nim spacerować, dyabli wiedzą po co. Nie przeczę, że łączą mnie z nim bardzo blizkie stosunki A jednak... wie pani, jakie on robi teraz na mnie wrażenie?

— Ciekawam.

— Jak czerwone jabłko.

— Hm...

— Zewnątrz czerwone... Rozumie pani?

— Hm...

— Zewnątrz... Podkreślam.

Podkreślił. A potem musiał się naturalnie zaraz pożegnać, bo zdawało mu się, że zrobił „bon mot" Pani Lona poszła dalej w kierunku „małego pawilonu", gdzie miała się zejść z — Ernestem.

Po drodze myślała mechanicznie:

— ...Czerwone jabłko... Hm... Podkreślam: czerwone...

„Nie: podkreślam zewnątrz..."

Stanęła. I otworzyła nieinteligentnie usta.

„Aha! Zewnątrz!"

— Zrozumiała.

„Mecenas mądry".

Ernesta jeszcze nie było przy „małym pawilonie". Pani Lona usiadła na ławce i kończyła myśleć:

— A tak... Zewnątrz czerwone... To znaczy, że wewnątrz... wewnątrz... hm...

Ernest przyszedł trochę zadyszany.

— Już jesteś? — spytał, ocierając sobie czoło jakąś kolorową chustką.

A kiedy sobie wypoczął, zaczął jej o czemś mówić, co słyszała już dużo razy nawet od niego.. O tem, jak ją bez granic kocha.

Ale pani Lona była w usposobieniu, w którem się mówi: nie. I powiedziała raz, a potem jeszcze trzy razy: nie. Nawet dosyć nieprzyjemnie i stanowczo, bo była — nie wiedzieć dlaczego — w coraz gorszym humorze.

Ernest zaczął jej tłómaczyć, że wobec tego życie nie ma dla niego najmniejszego uroku.

Wyjął nawet kolorową chustkę po raz drugi i manewrował nią w okolicy lewego oka.

— A więc tak — szeptał beznadziejnym głosem — dobrze... więc tak...

Słońce piekło panią Lonę w kark. Patrzyła z prawdziwą, niewytłómaczoną odrazą na różowe i zdrowe policzki Ernesta.

Myślała przytem ustawicznie:

„Czerwone jabłko..."

A Ernest szeptał znowu po krótkim wypoczynku:

— Pani nie wie, co się teraz ze mną dzieje Pani nie wie, co może nastąpić. Bez pani życie nie ma dla mnie wartości. Rano budzę się z myślą o pani, w wieczór zasypiam...

„Podkreślam: zewnątrz" — myślała Lona.

Ernest mówił ciągle „pani". Czasem zapominał, że mówią już do siebie „ty" (od czwartego kwietnia), a jeżeli się nagle spostrzegł, tracił w tej chwili humor.

— Proszę pani, ja już nie jestem w tym wieku, żeby można się mną bawić... Nie jestem studentem... Niech pani nie zapomina, że... że...

Nie mógł ze wzruszenia mówić. Słońce przeniosło się tymczasem z karku jej na kark jego.

— ... Bo pani myśli... pani się zdaje...

Spostrzegł się nagle, że mówi „pani". Przerwał rozmowę prawie szorstko,

— Co tu dalej mówić!..

Wstał z prawie niegrzeczną raptownością i zapiął ostatni guzik tużurka, dając niejako do poznania, że już droga do niego zamknięta.

Pani Lona zaczęła mówić bardzo zajmująco o mężu, obowiązkach, ludzkich językach i tym podobnych rzeczach...

...A kiedy słońce zaszło, było już po wszystkiem".

(Ciąg dalszy nastąpi).

snym obchodzie, a oni nie odmówili i zabawiali się do późnej godziny z młodemi latoroślami pierwszych rodzin w państwie, przyczem wznoszono toasty na cześć Chin i Japonii, poseł chiński zaś w doskonałej niemczyźnie, zaprawionej nawet nieco wiedeńskim dyalektem, wypowiedział bardzo dowcipny toast na cześć solenizanta, młodego ks. Windischgraetza.

List do Redakcyi.

(W sprawie młodzieży szkolnej).

Przegląd w nrze 160 z bież. roku zwraca uwagę czytelników na artykuł p. Wł. Jaworskiego o obecnym stanie szkół średnich, umieszczony w krakowskim *Czasie* pod tytułem: „Młodzież szkół średnich“ — jako zawierający bardzo trafne poglądy jego autora. Przytacza też kilka ustępów z tego artykułu p. Jaworskiego, który, nawiązując do dyskusyi w Radzie miasta Krakowa nad sprawozdaniem jej delegata do krajowej Rady szkolnej, wskazuje, iż stwierdzono w tej dyskusyi, że młodzież nasza cofa się wstecz pod względem intelektualnym i moralnym, a który, zastanawiając się ze swojej strony nad tą kwestyą, upatruje przyczynę złego także w przepełnieniu szkół średnich, fatalnych następstwach tego przepełnienia, biedzie wśród uczniów, będącej regułą, a nie wyjątkiem, i okoliczności, że ogromna większość uczniów pochodzi z warstw kulturalnie nisko stojących.

Nie ulega wątpliwości, że do szkół wogóle, a w szczególności do szkół średnich, o których mowa, uczęszcza więcej uczniów biednych, jak wyjątkowo dobrze sytuowanych, że większa nierównie część z nich pochodzi z zagród wieśniaczych, ze sfer małomieszczańskich, trudniących się rozmaitym drobnym handlem i przemysłem, tudzież oficyalistów i urzędników różnych kategoryj — minorum gentium — a mały stosunkowo procent z domów zamożnych ziemian, bogatych przemysłowców i wysokich różnych dygnitarzy. By jednak bieda między uczniami była regułą, tegobyśmy nie twierdzili, bo była z dawna i jest między nimi spora, przeważająca liczba średnio majętnych, a więc takich, których nie nagli potrzeba konieczna szukać środków na swoje utrzymanie, czy to w całości, czy w części przez dawanie lekcyj.

Nie rozglądając się daleko, zatrzymamy się przy szkołach średnich lwowskich. Że nie brak im uczniów, których liczba ciągle wzrasta, to rzecz wiadoma, a że pod względem sfer społecznych, z jakich ci uczniowie pochodzą, oraz stosunków materyalnych, w jakich się znajdują, jest dużo rozmaitości, to rzecz pewna. Zdawaćby się tedy mogło, że jeśli gdzie, to chyba tu, ta rzekoma bieda najwięcej wpadać będzie w oczy, a jednak przyjrzyjmy się tej młodzieży, jej stronie zewnętrznej, zwłaszcza w dniach świątecznych, a choćby i w dniu zwykłym, powszednim. Oto spostrzegamy, że wielu, nawet bardzo wielu uczniów jest wcale dostatnio, rzeklibyśmy, z pewną elegancyą przyodzianych, że wszystkie składowe części odzieży, począwszy od obuwia, a skończywszy na rękawiczkach i czapeczkach mundurowych są z materyału doborowego. A cóż powiedzieć na tę znamienną ilość zegarków kieszonkowych, mniej lub więcej kosztownych z przeróżnymi łańcuszkami i wisiorkami, które nawet u dzieciaków z pierwszych klas widzimy, a bez których snadnie obejśćby się mogli, oraz na tę mnogość rowerów, na których studenci tak licznie się uwijają. Kto rzeczywiście w biedzie, komu brak dostatecznej strawy, a nawet chleba powszedniego i czyj żołądek często pusty, tego oczywista nie stać na mundurek paradny, bo głodny, rozumie się, starać się będzie przedewszystkiem o zaspokojenie swoich potrzeb cielesnych. Nie dość na tem, proszę jeszcze przypatrzeć się, jak młodzież nasza podczas pauzy szkolnej zajada różne przekąski ofiarowane jej na sprzedaż. Nie byłoby w tem nic złego, gdyby te przekąski ograniczały się na zwykłem pieczywie, tudzież na zwykłych dojrzałych owocach, ależ bo wydaje ona nie mało grosza na różne smakołyki, wyroby z cukru, czekolady i na lody. Z przysmakami tymi wyczekuje stale na młodzież kilkoro ludzi pod budynkiem szkolnym i wabi ją swoją zastawą, do której też garnie się ona oczywiście nie z potrzeby, ale z łakomstwa. Zaiste nie pojmujemy, że ciało nauczycielskie na to zezwala, wszak nie uchodzi przyzwyczajać młodzieży do łasowania i marnowania grosza, a co ważniejsza zezwalać na to, by nie mający grosza pożądliwem i zawistnem okiem spoglądali na kolegów od nich szczęśliwszych. Brakuje tylko, żeby jeszcze wewnątrz budynków szkolnych urządzano bufety dla młodzieży, ale takie rozumie się, gdzieby prócz wody zwykłej i sodowej były napoje wyskokowe, bo gotowo się wyrobić jeszcze zdanie, że zamiast pokryjomu pociągać piwko i wódeczkę byłoby może lepiej, iżby się to działo jawnie, podobnie jak to pozwolono na palenie tytoniu, aczkolwiek chętniej widzielibyśmy, aby palenie tytoniu, a zwłaszcza na miejscach publicznych było młodzieży surowo wzbronione, skoro rzeczą jest aż nazbyt udowodnioną, że palenie tytoniu wogóle, a osobliwie u młodzieży fizycznie nie rozwiniętej działa szkodliwie na ciało i umysł.

Z tego, co wyż powiedziano, wnosić chyba wypada, że ta bieda nie jest taką, jak ją p. prof. Jaworski widzi. Że młodzież nasza, jak to poważne głosy stwierdzają, cofa się istotnie pod względem moralnym zwłaszcza, winno najmniej może ubóstwo jej i pochodzenie z warstw kulturalnie nisko stojących. Przyczynę tego cofania się szukać raczej należy w kiepskiem na ogół wychowaniu domowem, braku karności domowej, a bodaj czy nie i szkolnej, braku odpowiedniego nadzoru domowego, w złych obyczajach i złych dokoła przykładach osób starszych wiekiem, w obecnej dobie manifestującej się — że się tak wyrazimy — *głodem roskoszy* i niepomiernym wzrostem pretensyj i wielu innych rzeczy. Zaś co do przepełnienia szkół średnich, to jedną z ważnych przyczyn tego objawu są niezawodnie fałszywe pojęcia o pracy fizycznej i rzemiosłach, będących dotąd w pogardzie.

Wracając jeszcze do tego cofania się, powiemy, że niepoślednie miejsce zajmuje tu także ogólna pobłażliwość, okazywana młodzieży ze strony ciała nauczycielskiego. Na poparcie tego twierdzenia pozwolimy sobie przytoczyć mały na pozór szczegół. Jak wiadomo, istnieją co do mundurku młodzieży szkół średnich, a więc co do jego kroju i materyału, co do odznak na kołnierzu, ich szerokości etc. przepisy ustawowe, a czy bywają one przestrzegane? Już od dobrych kilku lat wkradły się tu nadużycia, w mundurkach bowiem, sporządzonych wedle przepisu, a mundurkach, noszonych przez liczny zastęp młodzieży, znajdujemy grubą różnicę. Niejeden z uczniów w swoim mundurku o kołnierzu przesadnie wysokim, niepozwalającym głowy uchylić, robi wrażenie czystej karykatury, a w odznakach, umieszczonych pretensyonalnie na kołnierzu, a sprawiających złudzenie odznaki sztabowego oficera, nie chcemy już wiele mówić. Nadużycia te tak wzięły górę, że Rada szkolna krajowa za namiestnika hr. L. Pinińskiego wydała odpowiedni okólnik do wszystkich dyrekcyj odnośnych szkół z poleceniem przeciwdziałania tym nadużyciom i karcenia za nie, a cóż się stało? Oto jak wiele innych przepisów i rozporządzeń bywa praktycznie u nas niewykonywanych, tak też i okólnik rzeczony pozostał martwą literą i poszedł w zapomnienie.

Lwów 29 lipca. *Hugon Garus.*

Wojna rosyjsko-japońska.

Tokio. Urzędowe. Sachalińska armia z brzaskiem dnia 27 lipca rozpoczęła dalszy pochód, wypierając energicznie Rosyan. Popołudniu tego dnia natrafił japoński oddział na rosyjską piechotę i zaatakował ją.

Petersburg. Duchowieństwo pewnego powiatu okręgu orenburskiego wysłało do cara telegram z prośbą, aby rząd nie zawierał haniebnego pokoju. Car odpowiedział: „Rosyjski naród może na mnie polegać. Nigdy nie zawrę haniebnego lub niegodnego wielkiej Rosyi pokoju“.

Znachorstwo.

Pomimo świetnego rozwoju nauki lecznicznej, pomimo znakomitych wyników, jakie osiągnęli uczeni badacze w różnych dziedzinach medycyny, znachorstwo kwitnie jeszcze dzisiaj nietylko wśród ciemnego ludu, ale i w sferach społeczeństwa przodujących cywilizacyi. Między innemi w Niemczech rozrosło się do takich rozmiarów, że kilkakrotne, wynikłe stąd w czasach ostatnich procesy wykryły takie skandaliczne nadużycia, taki wyzysk łatwowiernych, iż grono ludzi światłych w Berlinie uważało za konieczne założyć specyalne towarzystwo „Przeciw znachorstwu“, którego celem zapobieganie tym praktykom szarlatańskim.

Niedawno odbyła się we Wrocławiu wystawa, zajmująca się właśnie tym szarlatanizmem medycznym, znachorstwem. Publiczność mogła tam obejrzeć szereg dokumentów, które wykazywały istotnie budujące rzeczy i rzucały jaskrawe światło na ignorancyę i głupotę wielkich mas. Jednocześnie są też dokumenty te znamienne dla zuchwalstwa i bezwstydności, z jakiemi znachorzy prowadzą swoje rzemiosło.

W palącej tej sprawie zabrał głos, w jednym z dzienników berlińskich, znany uczony włoski, profesor uniwersytetu turyńskiego, Cezary Lombroso. Przedewszystkiem ucieka on się do „suchej nauki statystyki, która wielu osobom jest taka niemiła, a wyświadczyła już tyle znakomitych usług; niechaj ona przemówi najpierw, dowiedzmy się od niej, jak rozpowszechniło się znachorstwo w naszych czasach. Jako przykład wybieramy miasto sceptycznej inteligencyi Berlin“.

Statystyka wykazuje tedy, że w r. 1879 było w Berlinie znachorów 29, w dziewięć lat później — 227, po nowych latach dziewięciu — 576, a w roku 1902 — 973. Jak widzimy, wzrost pokaźny.

„Przedmiot ten interesuje mnie — pisze Lombroso — i wydaje mi się tak ważnym, że należy raz postawić pytanie: „Czem się to dzieje, że szarlatanizm medyczny może mieć takie powodzenie i wzmagać się ciągle wśród ludności, która jest dosyć cywilizowana i nie ma nawet 2% analfabetów? Sądzę, że jeden z głównych powodów, mogących zjawisko to objaśnić, jest natury atawistycznej. Posiadamy instynkt, którego sami nie jesteśmy świadomi, nawet i ci mądrzy wśród nas wierzą często, gdy chodzi o medycynę i leczenie chorób, w środki cudowne, fantastyczne.

Lekarze przodków naszych byli, zupełnie tak samo jak lekarze ludów dzikich, czarodziejami, znachorami, czarnoksiężnikami, uznanymi przez władze szarlatanami, którzy usiłowali w najlepszej wierze wyleczyć chorego egzorcyzmami, t. j. przy pomocy środków, często okrutnych i barbarzyńskich, wypędzając zeń złe duchy. W innych znów wypadkach dawano środki najgłupsze, a był czas, kiedy praktyki medyczne takie były dziecinne, że za rzecz bardzo skuteczną i zbawiennie na przywrócenie zdrowia oddziaływającą uważano — wachlowanie chorego kartkami Biblii, lub też dawanie mu do zażywania pigułek ze zwyczajnego papieru. Im choroba była bardziej tajemnicza i zawikłana, tem większe zaufanie budziła sztuka lekarza, o ile osłoniła się płaszczem cudu, który go od „człowieka zwyczajnego“ odróżniał. Rzeczą główną były długie recepty i przepisy; pacyent, ani jego rodzina nie zdołaliby zrozumieć nigdy, że prosty przepis hygieniczny w większości wypadków byłby daleko skuteczniejszy. Zresztą pod tym względem i dzisiaj niewiele jeszcze się zmieniło.

Znana jest historya owego lekarza, który wezwany do chorego sułtana, kazał sobie przynieść pałkę, wywiercił w niej otwór, zapchał go różnemi pigułkami i medykamentami i zalecił sułtanowi, aby codziennie wywijał tą pałką przez czas pewien. Oczywiście nie działały tutaj owe lekarstwa, lecz tylko ćwiczenia gimnastyczne z pałką. Gdyby zaś lekarz ów powiedział poprostu sułtanowi: „Proszę używać codziennie przez dwie godziny ruchu“ — wówczas wyrzuconoby go może za drzwi, bo dla takiego zwyczajnego przepisu nie było przecież potrzeby wzywać słynnego lekarza.

Znajomość tego, tkwiącego w naturze ludzkiej upodobania do wszelkiej wiedzy tajemniczej, ułatwia szarlatanowi jego rzemiosło; wyzyskuje tę słabostkę ludzką i bez trudu potrafi opanować umysły, zdobywać nad niemi władzę. Jest wszakże jeszcze powód inny, dla którego szarlatanizm w naszych czasach i w społeczeństwie naszem mógł się tak zakorzenić. Należymy mianowicie do pokolenia, noszącego piętno niepewności, nieśmiałości, ospałości i braku stanowczości; potrzebującego nieustannie pobudki, zachęty, podniecenia. Cierpimy wszyscy na chorobliwy brak woli, tak, że zawsze jesteśmy skłonni odroczyć jakieś postanowienie, lub uchylić się od jakiejś odpowiedzialności; wahamy się zawsze z dokonaniem wyboru, jeśli nas kto nie namówi lub przemocą do tego nie zniewoli.

Wzmagający się wpływ i rozpowszechnienie reklamy jest poparciem mego twierdzenia. Niema dobrego czy złego gatunku herbaty, mydła, pończoch lub butów, które nie byłyby puszczone w obieg drogą olbrzymich, kosztownych reklam, inaczej bowiem nie miałyby wcale zbytu.

Im naród jest bardziej cywilizowany, tem więcej potrzebuje takich sztucznych środków sensacyjnych, i tem bardziej wyrafinowane stają się sztuczki, do jakich ucieka się świadomy rzeczy.

Szarlatanizm medyczny posługuje się środkami nie różniącemi się zbytnio od stosowanych przez szarlatanizm handlowy. Pochlebia, namawia, suggestyonuje. Jeśli człowiek zdrowy tak bardzo łaknie suggestyi, o ileż więcej pragnie jej, osłabiony cierpieniem.

Lekarz sumienny, stojący wobec ciężko chorego, wie często dobrze, iż uzdrowienie go na podstawie środków, jakiemi rozporządza, jest trudne, a niekiedy niemożliwe prawie. Nie powie tego oczywiście wręcz, ale ostrożnie, rozważnie nie przyrzeka szybkiego wyzdrowienia. Wówczas pacyent, zniecierpliwiony, zwraca się do znachora, a ten, uzbrojony w szpryckę, flaszeczkę i sztukę suggestyi, zastrzykuje mu ją wraz z surowicą. Opowiada o znacznej liczbie wypadków, w których pacyenta w daleko rozpaczliwszem położeniu uzdrowił; opisuje obrazowo, działając na wyobraźnię, wpływ stosowanych środków, a myśli chorego odwracają się od dręczącego cierpienia, nie czuje bólu, zaczyna jeść i trawi, a to chwilowe odżywianie się dodaje mu siły. Oczywiście stan jego się poprawia, narazie wychwala zatem surowicę pod niebiosa. Lecz poprawa nie trwa długo, a wówczas znachor znajdzie zawsze jakiś powód specyalny — chory się przejadł lub zaziębił — i choćby lekarstwa jego już dalej nie działały, powołuje się zawsze na tę pierwszą nagłą poprawę, i zdobycz zostaje mu już w ręku.

Chorzy z urojenia, ludzie bogaci, bezczynni, z naturą melancholijną, którzy nic nie robią i o niczem nie myślą i dlatego wmawiają w siebie różne choroby, przedstawiają jeszcze większe pole wyzysku dla znachorów. Lekarz sumienny, który po zbadaniu powie, że są zdrowi, jest dla nich nieukiem. Znachor natomiast, który każe sobie opowiadać historyę choroby, udaje, że bierze ich stan za bardzo poważny, wyjaśnia długo, jak ich leczyć będzie, — ten zyskuje ich zaufanie, serce i podziw. Oczywiście zaś nie leczą takich chorych pigułki, proszki, tylko suggestya, przeświadczenie, że wyzdrowieją.

Walkę przeciw znachorstwu, — chwalebną i godną poparcia, — poprzedzić musi energiczna krucyata przeciw przyczynom, które sprawiają, że ono wzmaga się i kwitnie. Krucyata przeciw suggestywności, tej słabości moralnej, tej obawie spojrzenia w oczy prawdzie, która jest charakterystyczną dla naszego t. zw. cywilizowanego pokolenia.

Co i o czem piszą.

Z artykułu jednego z adwokatów warszawskich, zamieszczonego w *Kuryerze warszawskim*, dowiadujemy się, że istnieją jeszcze w Europie prawdziwe niewolnice. Są to mianowicie kobiety przynależne do państwa rosyjskiego, mężatki, które jednak nieszczęśliwie za mąż wyszły, a nie mogą uzyskać z przyczyny braku prawnych ku temu powodów, rozwodu lub separacyi. Oto co o nich ów adwokat pisze:

Mąż obowiązany jest kochać i szanować swoją żonę, winien jej wierność i obronę, a żona powinna być posłuszna mężowi, jako głowie familii, winna mu miłość, uszanowanie i wierność — tak brzmią artykuły 208 i 209 prawa o małżeństwie; ale w przypadkach, kiedy mąż żony nie kocha i nie szanuje, kiedy majątek jej roztrwonił i na łasce losu ją pozostawił, kiedy życie jej złamał i goryczą napełnił — czy i wówczas powinna żona trzymać się męża swego i nie rozłączać się z nim nigdy? Tak, bo artykuł 210 tegoż prawa stanowi, że „żona obowiązana jest mieszkać z mężem i iść za nim wszędzie, gdzie mu się zostawać podoba. Mąż zaś jest obowiązany przyjąć żonę i opatrywać ją we wszelkie potrzeby życia, według swej możności“.

Czy niema środków uwolnienia się od męża, z którym pożycie stało się dla kobiety rzeczą niemożliwą, katuszą? A rozwód? a separacya? Owszem, gdy są przyczyny prawne — można uzyskać separacyę, ewentualnie rozwód, ale życie małżonków nie daje się normować przepisami prawnemi. Istnieją często takie głębokie różnice w strukturze duchowej obojga małżonków, taka nieraz przepaść ich dzieli, że dłużej żyć z sobą nie mogą, a jednak rozwodu lub separacyi nie uzyskają, bo przyczyn przez prawo określonych — niema.

I tu właśnie występuje cała zgroza położenia pozbawionej prawa kobiety, gdy mąż jest nicponiem i oprawcą moralnym.

Aczkolwiek przytoczone wyżej artykuły prawa o małżeństwie przejęte zostały z kodeksu francuskiego (§§ 212 – 214), to jednak we Francyi i w innych krajach konstytucyjnych położenie kobiety, w razie zerwania z mężem, nie jest tak okropne, jak u nas, bo nie ma tam nigdzie systemu paszportowego.

Gdy we Francyi lub w tych krajach, gdzie obowiązują zasady prawa francuskiego, kobieta nie chce korzystać ze służących jej dobrodziejstw „opatrywania jej we wszelkie potrzeby życia“ przez znienawidzonego męża i opuszcza dom jego, może osiąść lub zamieszkać gdzie jej się podoba, może pracować w całym kraju, może przenieść się nawet do innego kraju, i nikt jej w tem przeszkód żadnych stawiać nie jest mocen, bo jakkolwiek jest związana ze swym mężem w obliczu ołtarza, w obliczu prawa, to jednak zawsze i wszędzie pozostaje człowiekiem wolnym.

Żadnych paszportów tam nikt nie zna, żadne legitymacye nie są potrzebne, bo już dawno teorya i praktyka prawa administracyjnego pogrzebała wszędzie system legitymacyi paszportowej. U nas zaś, gdzie, jak się trafnie wyraził, jeden ze znanych prawników rosyjskich, człowiek składa się z ciała, duszy i... paszportu — kobieta zamężna jest w położeniu bez wyjścia. Sama przez się, jako człowiek, jako pełnoletnia i świadoma czynów swych obywatelka, nie może otrzymać paszportu ani krajowego, ani zagranicznego, jeśli mąż nie zechce łaskawie na to zezwolić. Zgodnie z art. 11 ustawy paszportowej kobieta zamężna otrzymać może paszport osobny jedynie za zezwoleniem męża, danem na piśmie. W warunkach, kiedy kobieta chce dom męża swego opuścić, i to wbrew jego woli, mąż nigdy zezwolenia swego na wydanie żonie paszportu nie udzieli, co się też na każdym kroku zdarza, i wówczas kobieta zostaje faktycznie niewolnicą, bo jest pozbawiona elementarnego prawa — prawa rozporządzania swoją własną osobą i przenoszenia się z miejsca na miejsce. W szeregu innych ograniczeń praw kobiety zamężnej, — zależność od męża, z którym nie mieszka, przy otrzymywaniu paszportu, jest najcięższą i najokropniejszą obrazą godności ludzkiej i praw elementarnych, gdyż upośledzenie kobiety przez prawo pod tym względem, czyni z niej prawdziwą niewolnicę.

Mały feljeton.

Gdzie szczęście?

Dziwne z nas, dziwne zaprawdę istoty!
Szukamy szczęścia na ziemi i w niebie,
A jakże często jego promień złoty,
W nas samych świeci... Lecz czyż znamy siebie?

Szukamy skarbów gdzieś w ziemi zarytych,
Wzrok nasz, za perłą głębie morskie mierzy;
A ileż skarbów dotąd nieodkrytych
I ileż pereł w duszy naszej leży.

Zewnętrzne szczęście, nie jest szczęściem żadnem;
Jest niem to tylko, co głąb serca kryje,
Wszystko zaś inne jest złudzeniem zdradnem,
Niby to nasze — a jednak niczyje.

I to jest klątwą ludzką i żałobą,
Że wzrok na zewnątrz tocząc z niepokojem:
Tak rzadko kiedy przestajemy z sobą,
Z własnemi myśli i ze sercem swojem.

Władysław Bełza.

KRONIKA.

Lwów 31 lipca.

Kolej Lwów-Podhajce. Donoszą nam z Wiednia, że na ostatniej Radzie ministrów uchwalono udzielić koncesyę na budowę kolei lokalnej Lwów-Podhajce. Należy więc już niebawem spodziewać się ogłoszenia owej koncesyi w dzienniku ustaw państwa.

Wystawę przemysłowo-rolniczą w Tarnowie urządza tameczne Towarzystwo pomocy przemysłowej w dniach od 28 września do 5 października br. Zgłoszenia należy nadsyłać do dnia 15 sierpnia br. Bliższych informacyi udziela Biuro Towarzystwa pomocy przemysłowej w Tarnowie ul. Chyszowska l. 7, I piętro.

Kapral policyjny — przeciw księciu Radziwiłłowi. Onegdaj odbyła się w wielickim sądzie powiatowym rozprawa karna przeciw Aleksandrowi ks. Radziwiłłowi o obrazę honoru i czynną zniewagę, popełnioną na osobie kaprala tamecznej policyi miejskiej, Jarosika. Książę zasądzony został na karę aresztu przez 27 dni, ewentualnie na zapłacenie grzywny w kwocie 1850 koron.

Wyścigi konne dragonów. Wobec licznie zebranej wojskowości odbyły się onegdaj na torze wyścigowym za rogatką stryjską wyścigi, urządzone przez dragonów. Podczas biegu oficerów, skupiło się kilku jeźdźców przy drewnianej baryerze, a koń, który znalazł się najbliżej baryery, tak silnie uderzył o nią nogą, że złamał sobie kość. Zwierzę zastrzelono natychmiast, poczem wezwano telefonicznie rakarza, który je zabrał. W czasie biegów spadło z koni dwóch oficerów i jeden podoficer, który skaleczył się w głowę.

„Bilety do nieba“. *Monitor, Kuryer Lwowski* i *Naprzód* doniosły przed niedawnym czasem, że OO. Jezuici wydają i sprzedają jakieś „Bilety do nieba“ i „ogłupiają w ten sposób lud, zamiast szerzyć zdrową myśl religijną i tępić zabobon“.

Ponieważ pisma te kilkakrotnie do tej samej wracały sprawy i istotnie w szerokich masach zaczęto ją najrozmaiciej komentować i najrozmaitsze z niej wyciągać wnioski, mogące niekorzystnie wpłynąć na religijne uczucia ludu, udał się jeden ze współpracowników *Gazety Narodowej* do O. Sopucha T. J., superiora lwowskiego domu OO. Jezuitów, z prośbą o wyjaśnienie.

Na zapytanie, dlaczego na te wystąpienia Ojcowie Jezuici nie reagowali, odpowiedział X. Sopuch:

— Zanadto już wiele było podobnych wystąpień i ostrze ich zanadto już jest stępione, abyśmy przy naszych pracach mieli ochotę i czas odpowiadać na każką zaczepkę. Zresztą dzisiejsze ustawodawstwo, jak to niedawno temu sam kierownik ministerstwa sprawiedliwości przyznał, nie daje dostatecznej obrony przeciw oszczercom i kalumniatorom. Każde oszczerstwo drukiem rozszerzane idzie przed ławę przysięgłych, a tu proces zależnym jest od przypadkowego składu tej ławy, ciągnie się miesiącami, w czasie których zło, nabrawszy rozgłosu, szerzy się tem bardziej, a ostatecznie kończy się zazwyczaj oświadczeniem przyciśniętego do muru redaktora, iż ...nie miał zamiaru obrazić.

— Czy jednak Ojcu Superiorowi znane są owe „Bilety do nieba?“

— Słyszałem, że takie „Bilety“, jak zresztą rozmaite drobne wydawnictwa kramarzy, nie opatrzone nawet aprobatą władzy kościelnej, niestety istnieją i bywają sprzedawane po kramach, przeciw czemu niejednokrotnie na misyach ludowych księża naszego zakonu występowali. Osobiście jednak takiego „Biletu do nieba“ o których piszą owe dzienniki, na oczy nie widziałem. Pozwalam nawet panu oświadczyć publicznie, że zakon OO. Jezuitów ani nie wydawał, ani nie rozpowszechniał, ani nie sprzedawał żadnych „Biletów do nieba“, oraz, że tak napadnięty O. Wróblewski T. J., jak my wszyscy, dowiedzieliśmy się o tych listach dopiero po rewelacyach *Monitora* i *Kuryera*. A dowiedzieliśmy się od ludzi, którzy po przeczytaniu tych pism, zgłaszali się do nas z chęcią kupna „Biletu do nieba“. Artykuły więc, które pana do mnie sprowadziły, są niczem więcej, jak napaścią na gładkiej drodze.

— A co Ojciec Superior mówi o tych „Biletach do nieba“.

— Ponieważ żadnego z nich nie czytałem, nie mogę o ich treści i tendencyi wydawać żadnego sądu. Jeśli nie są zaopatrzone aprobatą władzy kościelnej, która na każdem wydawnictwie religijnem musi się znajdować, nie powinne być rozszerzane i polecane, chociażby nawet wydane były w dobrych zamiarach.

— Więc pod żadnym warunkiem Ojciec Superior przeciw nim reagować nie zamierza?

— I owszem. Mogę to uczynić, ale w inny sposób. Wzywam niniejszem redakcye *Monitora* i *Kuryera lwowskiego*, aby do 7 sierpnia udowodniły, iż zakon nasz, lub wogóle którykolwiek z członków naszego zakonu drukował, rozpowszechniał lub sprzedawał „Bilety do nieba“ i oświadczam, że w razie złożenia takiego dowodu, który dla tych redakcyj powinien być przecież łatwym, boć nie przypuszczam, aby bez dowodów w ręku z podobnemi rewelacyami występowały, złożę natychmiast pięćset koron na rzecz głodnych i rannych w Królestwie na ręce administracyi *Gazety Narodowej*. Pójdę nawet tak daleko, że sąd nad złożyć się mającymi przez redakcye *Monitora* i *Kuryera* dowodami, przed który naturalnie wezwany być muszę, pozostawiam ludziom, wybranym przez te redakcye. Jeżeliby jednak redakcye te dowodów takich nie przedłożyły, nie będę żądał od nich równego mojemu *penale*, a tylko oddam ich postąpienie pod sąd wszystkich ludzi dobrej woli i wiary.

P. Bronisław Wysocki, zaszczytnie znany z koncertów amatorskich i wielce ceniony śpiewak, został zamianowany radzcą w rachunkowym departamencie namiestnictwa. Nominacya ta wywołała żywą radość w szerokich kołach towarzysko-muzykalnych.

Nowa opera polska. Bardzo radosna wieść, zwłaszcza, dla świata artystycznego, nadeszła z Krakowa. Oto dyrektor tamecznego konserwatoryum, p. Władysław Żeleński wykończył w tych dniach swą najnowszą operę pt. „Stara baśń“, nad którą pracował od lat kilku. Najnowsze dzieło twórcy „Konrada Wallenroda“ obejmuje cztery akty. Libretto osnute na tle jednej z najpiękniejszych powieści Kraszewskiego, pod takim samym tytułem, wyszło z pod pióra śpiewaka Aleksandra Bandrowskiego. Zdaniem znawców, którzy dzieło słyszeli, „Stara baśń“ pod względem inwencyi muzycznej, melodyjności i kunsztownego harmonicznego opracowania zajmie naczelne miejsce wśród dotychczasowych dzieł Żeleńskiego i na pełne powodzenie liczyć może. Dyrekcya teatrów rządowych w Warszawie czyni już starania o prawo wystawienia tej opery.

Nadzwyczajna zgodliwość wiarołomnych małżonków. Sąd podgórski rozpatrywał tymi dniami oryginalną sprawę, która za tło posiada powikłania stosunków małżeńskich dwóch rodzin, a któraby mogłaby służyć za temat do bardzo wesołej farsy. Oto przed blisko sześciu laty ożenił się we Lwowie z panną posażną, ale natomiast głuchoniemą niejaki Łopuszański. Pożycie małżeńskie Łopuszańskich było dobre aż do chwili, kiedy do odnajętego przez nich pokoju wprowadził się z żoną Franciszek Zuckerberg, czeladnik szewski, który bardzo lubił zaglądać do kieliszka. Zuckerberżyna, uciekając od męża-pijaka, starała się w swem strapieniu znaleść pociechę i wkrótce odnalazła pocieszyciela w Łopuszańskim, któremu w tym czasie sprzykrzyło się sześcioletnie pożycie z wiecznie niemą żoną. Pewnego dnia zatem, zabrawszy znaczną gotówkę, zniknęli ze Lwowa i udali się do Prokocima w powiecie podgórskim, gdzie zamieszkali jako nader przykładne małżeństwo i założyli tam sobie za wspólne pieniądze, zabrane Łopuszańskiej i Zuckerbergowi, sklepik. Przez długi przeciąg czasu poszukiwali strapieni Zuckerberg i Łopuszańska, jeden żony, druga męża, wspólnie zaś gotówki, która razem z uciekinierami się ulotniła, aż nareszcie Zuckerberg przypadkowo natrafił na ślad zbiegów, przyjechał do Prokocima i doprowadził do aresztowania Łopuszańskiego. Niewierna Zuckerberżyna pogodziła się wkrótce z przebaczającym mężem, który tem łatwiej to uczynił, gdy się dowiedział, że sklepik w Prokocimiu dawał dobre dochody i że w kasie jest z górą 200 koron gotówki. Łopuszańska również (na migi) przebaczyła mężowi swemu, który zgodził się powrócić do żony, dowiedziawszy się, że Zuckerberżyna już o nim słyszeć nie chce.

Sąd rozstrzygać będzie — po odstąpieniu od oskarżenia Zuckerberga i Łopuszańskiej — tylko sprawę cywilną, ile komu się należy z dorobku pieniężnego Łopuszańskiego i Zucherberżyny.

Osobliwa spekulacya. W pociągu idącym z Rzeszowa do Krakowa, już niedaleko celu podróży, wykrył tymi dniami konduktor pod ławką wagonu III klasy pasażera, odbywającego podróż bez biletu. Był to 11-letni Szmul Rabinowicz, którego matka, zamieszkała w Krakowie, wysłała była do Rzeszowa, żeby tam użebrał trochę grosza. Chłopiec istotnie wyżebrał kilkanaście koron, nie chcąc zaś wydać ich na drogę, a bojąc się, aby w razie przyłapania go na bezpłatnej podróży nie ściągnięto mu kary z znalezionych przy nim pieniędzy, wysłał je najpierw pocztą do domu, a wtedy nie mając już nic do stracenia, wybrał się w podróż bez biletu.

Zabójstwo w Zamarstynowie. Tomasz Stachurski, laborant fabryki „Tlen“, którego przed kilku dniami ciężko pokaleczyli dwaj rzezimieszkowie, bracia Biedrzyccy, za to, że im przeszkodził kilkakrotnie w kradzieży, zmarł już w szpitalu w skutek otrzymanych wówczas ran.

Opera polska w Medyolanie. W *Kuryerze Warszawskim* znajdujemy następujący artykuł, który tu powtarzamy w całości. Opera polska w Medyolanie, pod dyrekcyą Ludwika Hellera, rozpoczyna swój sezon w październiku r. b. w teatrze Lirycznym. Sprawą tych przedstawień gorąco zajął się i poparcie moralne i materyalne zapewnił Paderewski, który w drodze z Nowego Jorku zatrzymał się umyślnie w Londynie, w celu zobaczenia się z dyrektorem Hellerem i omówienia szczegółów, związanych z temi widowiskami. Dzięki temu w Medyolanie wystawiona będzie opera „Manru“, nadto zaś znakomity jej twórca wystąpi, jako pianista, na jednym z koncertów, które w ciągu października i listopada będą urządzane w Medyolanie, w tym samym teatrze Lirycznym. W koncertach tych, oprócz Paderewskiego, wezmą udział również inni artyści polscy: Śliwiński, Michałowski, Barcewicz, Huberman i t. d. Dane też będą koncerty kompozytorów polskich: Z Noskowskiego, W. Żeleńskiego, M. Karłowicza, J. Wertheima etc., pod osobistą dyrekcyą twórców.

P. Heller ofiarowywa na wszystkie te koncerty salę teatru, orkiestrę, oraz 40% dochodu: niektórym zaś zapewnia zwrot kosztów podróży. W przedstawieniach opery wezmą udział i soliści: Śpiewaczki: Bice-Corsini, Giorgiula Grassi, Irena Bohus, Monti-Bruner, i śpiewacy: Leliwa, Paiet, Tita-Ruffo, Pini-Corsi, Massoci, Mentasti, Queirolo itd. Układy z p. Kruszelnicką (która we Włoszech występuje pod nazwiskiem „Krusceniscki“) nie doszły do skutku. P. Kruszelnicka, która w 1904 r. w teatrze Lirycznym pobierała od Sonzogna za 8 wieczorów 5.000 lirów, czyli po 625 lirów za występ, zażądała od p. Hellera za udział w „Halce“ kwoty 60.000 lirów, po 3.000 lirów za wieczór. Nadto zastrzegła sobie, żeby całkowita suma 60.000 lirów była złożona w banku włoskim na jej imię z góry. „Sympatyczna“ tedy ulubienica Warszawy zażądała od dyrektora polskiego 6 razy większego honoraryum, aniżeli od Włocha. Trzeba to sobie zapisać w pamięci.

Wobec tego partyę Halki śpiewać będzie znakomita artystka włoska, Bice-Corsini, której talent, głos i temperament sceniczny w zupełności odpowiadają partyi. Jontka odtworzy p. Leliwa, który nadto wykona rolę Manru. Partyę Janusza odśpiewa najsłynniejszy dziś baryton, Tita-Ruffo. P. Irena Bohus Hellerowa odtworzy tylko „Sprzedaną narzeczoną,“ a szkoda, bo po tryumfach londyńskich artystka nasza mogłaby z wielkiem powodzeniem objąć inne role pierwszorzędne w imprezie męża. Nie chce tego zrobić dla zbytniej skromności.

Oprócz „Halki“, „Manru“ i „Sprzedanej narzeczonej“, w ciągu tego sezonu wystawione będą opery: „Żongler z Notre Dame“ Masseneta i „Ennoch Arden“ Kajetana Coronaro.

Chóry i orkiestra są zaangażowane z teatru La Scala, w poważnej liczbie 76 osób (orkiestra) i 54 osób (chóry). Balet składać się będzie z 24 osób. Dekoracye wykończyła znana malarnia Bertiniego, według wzorów i szkiców artysty-malarza, p. Władysława Jasińskiego. Kostiumy wszystkie nowe robione są podług wzorów oryginalnych przez kostyumera teatru La Scala, pana Chiapa.

Niezwykle efektownie wygląda afisz, zapowiadający przedstawienie „Halki". Na pięknem tle afisza widać śliczne dwie postaci: Hanlki i Janusza. Pomysł i rysunek afisza jest dziełem p. W. Jasińskiego. Odbito programy w słynnej litografii w Bergamo.

Strejk robotników budowlanych trwa w dalszym ciągu. Dowiadujemy się o rzeczy niezwykle charakterystycznej. Oto dwaj agitatorowie socyalistyczni rywalizyją ze sobą i na złość sobie wzajemnie podtrzymują trwanie strejku.

Rokowania między pracodawcami a robotnikami są zerwane.

Ze sprawozdań szkolnych za rok szkolny 1904/5. Państwowa szkoła przemysłowa we Lwowie liczyła w tym roku 539 uczniów i uczenic; a mianowicie na pięć kursów dla przemysłu budowlanego uczęszczało 110 uczniów, na cztery kursy męskiej szkoły dla przemysłu artystycznego 129, w oddziale żeńskim tej samej szkoły było z nadzwyczajnemi 52 uczenic; sala publiczna rysunków i modelowania dla mężczyzn miała 30 frekwentantów, zaś dla pań 76 frekwestantek. Na uzupełniające kursy przemysłu budowlanego uczęszczało 12 uczniów, działu artystycznego 111 uczniów, a działu mechaniczno-technicznego 19. Z uczniów tych i uczenic 450 było narodowości polskiej, 87 ruskiej i 2 niemieckiej. Rzymsko-katolickiej religii 403, greko-kat. 89, 45 izraelitów i 2 ewangielików. Z uczniów szkoły w ubiegłym roku złożyli przed komisyą w namiestnictwie z dodatnim wynikiem egzamina na koncesyonowanego budowniczego 1 uczeń, na koncesyonowanych majstrów murarskich 8 uczniów, jeden na konc. majstra kamieniarskiego, na majstrów ślusarskich w dziale ślusarstwa artystycznego 11 uczniów, w dziale malarstwa dekoracyjnego na majstra 1 uczeń, po jednym w działach ślusarstwa budowniczego i tokarstwa i 6 uczenic z działu artystycznego hafciarstwa. Z działów niepodlegających koncesyonowaniu 5 frekwentantów uzyskało absolutorya. Szkoła rozporządzała 16.130 koronami różnych zasiłków i stypendyów, które rozdzielono pomiędzy uczniów. W marcu b. r. uczniowie dwóch najwyższych kursów budownictwa odbyli pod wodzą inż. prof. Mostowskiego bardzo bogatą we wrażenia ośmiodniową wycieczkę naukową do Budapesztu i Wiednia.

Radość w obozie masońskim. Liberalne dzienniki włoskie ogłaszają taki fakt:

W 1901 r. umarła w Rzymie pani Artemiza Ottalini i zapisała Stolicy apostolskiej dom przy ulicy San Salvatore. Leon XIII, wówczas panujący, nie zajął się wcale sprawą tego zapisu, dopiero Pius X dopełnił w 1904 formalności i objął dom ten w posiadanie.

Ale przeciw testamentowi wystąpili krewni zmarłej, opierając się na twierdzeniu, że testament jest nieważny, ponieważ jest zrobiony na korzyść istoty moralnej (Stolicy apostolskiej) nieuznanej przez państwo. Napotkali jednak na nieprzezwyciężoną trudność w rozpoczęciu sprawy, bo nie mogli wręczyć pozwu Stolicy Apostolskiej, gdyż kardynał Merry del Val, sekretarz stanu, mieszka w Watykanie, dokąd, jak wiadomo, na mocy ustaw gwarancyjnych, nie może wejść żaden woźny państwa włoskiego. Wręczenie pozwu poruczono urzędnikowi sądowemu, niejakiemu Manciniemu, a on nameczył się sporo zanim spełnił swój obowiązek. Od dwóch miesięcy — opowiada on w *Tribunie* — szpiegowałem kardynała Merry del Val, by wręczyć mu pozew po za obrębem Watykanu i dopiero dzisiaj udało mi się dokonać tego. Kardynał pojechał był do klasztoru Carissimi na nabożeństwo i naturalnie nie domyślał się wcale, że krok w krok jedzie za nim urzędnik sądowy. Wszedłem do kościoła w towarzystwie dwóch świadków i po wysłuchaniu nabożeństwa przedstawiłem się kardynałowi, gdy ten wychodził z kościoła w otoczeniu kilku xięży.

— Mam wręczyć Eminencyi — rzekłem — pozew sądowy, a jeżeli Eminencya go nie przyjmie, złożę w sądzie z oświadczeniem, że w obecności świadków Wasza Eminencya odmówiła mi przyjęcia pozwu.

Na te słowa kardynał przyjął pozew i oddał dokument swemu sekretarzowi.

Rozprawa jest naznaczona na 7 sierpnia i może mieć wielkie znaczenie polityczne, ponieważ jeżeli sąd uzna, że potrzebne jest pozwolenie rządu na otrzymanie spadku, natenczas papież będzie musiał prosić rząd włoski o takie pozwolenie, a tem samem uznać prawa rządu włoskiego do Rzymu.

Nieudolność policyi rosyjskiej. *Frankf. Ztg.* podaje zabawne epizody z niezdarnego pościgu policyantów rosyjskich w Łodzi za wichrzycielami rewolucyjnymi. Niedawno temu otrzymał naczelnik tajnej policyi w Łodzi Kowalek „z dobrze poinformowanych sfer" wiadomość, że udało się ajentom wykryć redakcyę *Lodzer Freiheitsglocke*, organu „Bundu". W dwudziestu minutach mała uliczka, przy której miała się znajować tajna drukarnia, została formalnie oblężona przez policyę. Uliczkę zamknięto, a w każdym domu po kolei zaczęto dokonywać ścisłej rewizyi pod osobistym nadzorem szefa policyi. Rzeczywiście w jednej z piekarń przy tej ulicy znajdowała się właśnie przy pracy redakcya organu „bundowców". Zapanował tam popłoch, ale wnet dzięki jednemu śmielszemu, a pomysłowemu współpracownikowi, udało im się wydobyć z rozpaczliwego położenia. Szybko przywdziali mundury wojskowe, złożone przypadkiem w sąsiedniem mieszkaniu, a wszelkie przybory drukarskie ukryli we wozie, służącym do przewozu chleba. Po upływie kilkunastu minut przejeżdżał spokojnie przez zamkniętą ulicę „wojskowy wóz prowiantowy", przyczem powożący „żołnierz" i drugi obok niego siedzący, zamienili kilka przyjaznych słów ze stojącymi na straży kozakami. Przeszukiwania policyi nie odniosły skutku.

Niedługo potem doniesiono Kowalkowi, że trzech niebezpiecznych agitatorów znajduje się „chwilowo" zajętych drukowaniem proklamacyj w żydowskiej kostnicy na cmentarzu. Natychmiast udał się naczelnik tajnej policyi na wskazane miejsce z silnym oddziałem stójkowych. Znajdujący się w pułapce agitatorowie uratowali się znowu konceptem. Skoro policya wkroczyła do kostnicy, nie zastała poszukiwanych agitatorów, lecz tylko trzy nagie ciała nieboszczyków. Po oddaleniu się policyi „zmarli" oczywiście zmartwychwstali, ubrali się, wyciągnęli z pod głowy z poduszki węzełek z proklamacyami i rozpoczęli robotę na nowo.

Z dziedziny bajek. *Gazeta Bydgoska* ogłosiła jeszcze w piątek, że jenerał-gubernator Maksymowicz uciekł z powodu milionowej defraudacyi z funduszów państwowych.

Nerwy śpiewaków. W życiu wielkich śpiewaków i śpiewaczek, uważanych za dzieci szczęścia, istnieją też odwrotne strony medalu. W *Daily Mail* umieszczono tymi dniami wyznanie kilku najbardziej znanych gwiazd, z których to wynurzeń wynika, że prawie wszyscy śpiewacy cierpią na nerwy.

Marcelina Sembrich-Kochańska pisze: „Cierpienie nerwowe, to w istocie rzeczy prawdziwa choroba. Zapadam na nią co roku, podobnie jak wszystkie śpiewaczki. Niekiedy myśl, że muszę wieczorem śpiewać, jest dla mnie taką męczarnią, że chętnie wyrzekłabym się sławy i złota, byle nie występować lub przynajmniej stracić z pamięci tę godzinę oczekiwania przed przedstawieniem. Zazwyczaj cierpię okropne męczarnie i z tej przyczyny zamierzam porzucić scenę". Primadonna zasięgała już rady najwybitniejszych lekarzy europejskich i leczyła się na wszelkie możliwe sposoby, zaczynając od kąpieli zimnych, a skończywszy na hypnozie, atoli, jak dotąd, bez skutku. Największą stosunkowo ulgę sprawiają jej długie przechadzki. Ponieważ jednak w dniu, w którym śpiewa, nie może ich przedsiębrać, przeto — jak mówi — skazana jest na siedzenie w domu, gdzie męczarnie jej nerwowe i utrapienie zwiększają się w miarę, jak się zbliża godzina występu.

Edward Reszke wyznaje, że mimo bardzo zdrowego wyglądu i tysiąca występów publicznych, jest zawsze „strasznie nerwowym", gdy mu przychodzi śpiewać. Na szereg godzin przed przedstawieniem nie może ani przez dwie minuty spokojnie usiedzieć: „Gdy stawiałem pierwsze kroki na widowni, byłem o wiele spokojniejszym, niż dziś — pisze p. Edward — i uważam, że z każdym rokiem coraz gorzej z memi nerwami".

Brat Edwarda, słynny Jan Reszke, jest jeszcze bardziej wrażliwy. W dniach występów jest tak podrażniony nerwowo, że nie może pozostawać w domu. Po drugiem śniadaniu wybiera się gdzieś w drogę, by zaprzątnąć czem swą uwagę. W teatrze zjawia się na godzinę przed przedstawieniem.

Raz widziano go, jak na kilka minut przedtem, nim przyszła nań kolej śpiewania, przechadzał się po korytarzu, z którego drzwi prowadzą na scenę. Za chwilę miano go zawołać. W tem zjawia się jeden z przyjaciół i zapytuje:

— Dlaczego nie idziesz na scenę?

Śpiewak nie zważał na pytanie i przechadzał się dalej wolnym krokiem. Gdy spostrzegł, że przyjaciel czeka na odpowiedź, zwrócił się ku niemu ze słowy:

— Bracie, idź swoją drogą. — Czy nie widzisz, że jestem nędznym skazańcem, który czeka na wyrok?

Reszke nie był w stanie pokonać rozdrażnienia nerwowego, i jak długo mógł, trzymał się zdala od widowni.

Temperatura dnia 28 lipca o godz. 7 rano wynosiła: w Galicyi zachodniej +19, we Lwowie +18, w Tarnopolu +16, w Czerniowcach +19, w Wiedniu +18, w Salcburgu +18, w Gracu +18, w Pradze +19, w Tryeście +23, w Abbazyi +20, w Raguzie +26, w Budapeszcie +20, w Berlinie +20, w Hamburgu +18, w Monachium +21, w Zurychu +21, w Genewie +20, w Lugano +29, w Anglii +19, w Paryżu +21, w Biarritz +21, w Nizzy +26, w północnych Włoszech +23, we Florencyi +23, w Rzymie +22, w Neapolu +23, w Palermo +24, w Madrycie +20, w Sztokholmie +19, w Petersburgu +17, w Wilnie +18, w Warszawie +18, w Moskwie +14, w Kijowie +16, w Odesie +22, w Serajewie +16, w Belgradzie +20, w Bukareszcie +23, w Sofii +18, w Konstantynopolu +24, w Atenach +26. (Temperatura według Celsiusza).

Deszcze lokalne połączone z burzami we Francyi i w Niemczech. W całej monarchii austryacko-węgierskiej pogoda.

Zmarli. W Krakowie, w zakonie S. S. Felicyanek, Wanda Pruszyńska, córka Zygmunta i ś. p. Felicyi z hr. Bobrowskich.

Stan powietrza. T. o g. 7 rano + 16 R. w poł. + 20 R. w cieniu, na słońcu + 27 Bar. 768. Idzie w górę. Upał.

Prawdziwa królowa balu.

— Czy mogę panią prosić o kontredansa?

— Zajęty od miesiąca.

— To drugiego mazura?

— Zajęty od tygodnia.

— A o kotyliona?

— Zajęty od zeszłego karnawału.

— W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak prosić panią o rękę.

— Ta jest wolna. Mama siedzi przy drzwiach — idź pan do niej...

Szczyt roztargnienia.

— Nie masz pan pojęcia, jak roztargniony jest mój zięć, profesor; po ślubie zapomniał nawet zabrać posag.

Dzieci wieku

— Rodziców powinniśmy kochać i szanować. Powiedzcie mi, w jaki sposób okazujecie im swoje przywiązanie nawet po opuszczeniu domu rodzicielskiego?

— Posyłamy im co pewien czas pocztówkę ilustrowaną.

Widowiska i koncerty.

Colosseum w Pasażu Hermanów. Pierwszorzędny i największy teatr rozmaitości. Od 16 do 31 lipca zupełnie nowy, światowy program familijny. Przedstawienia odbywają się we wspaniale urządzonym ogrodzie, w czasie deszczu w odnowionej sali. Początek o godz. 8 wieczorem. W niedzielę i święta dwa przedstawienia: o godz. 4 pop. i 8 wieczorem.

Część ekonomiczna.

Bank rolniczy we Lwowie. Lwów 27-ego lipca. (Dziś notujemy za 50 kg. *loco* Lwów. Waluta koronowa). Pszenica gotowa od 7·80 do 8·10, pszenica na termina od 7·25 do 7·50, żyto gotowe od 5·90 do 6·10, żyto na termina od 5·30 do 5·50, owies obroczny gotowy od 7·00 do 7·15, owies obroczny nowy od 5·30 do 5·50, jęczmień pastewny od 0·00 do 0·00, jęczmień browarniany od 6·25 do 6·50, rzepak od 10·75 do 10·00, lnianka od —·— do —·—, groch pastewny od 6·00 do 6·75, groch do gotowania od 7·50 do 9·—, wyka od —·— do —·—, bobik od 6·25 do 6·50, hreczka od —·— do —·—, kukurudza nowa od 0·00 do 0·00, kukurudza stara od 7·25 do 7·50, chmiel za 56 kilo nowy od 75·— do 78·—, koniczyna czerwona od 50·— do 60·—, koniczyna biała od 50·— do 65·—, koniczyna szwedzka od —·— do —·—, tymotka od —·— do —·—.

Spirytus paritas Tarnopol gotowy od 37·50 do 37·75, na termina —·— do —·—, ekskontyngentowany od 25·25 do 25·50.

Z powodu braku dowozów, ceny gotowego zboża, zwłaszcza pszenicy, wykazują zwyżkę. — Tak samo co do nowego zboża z dostawą w sierpniu, ceny są wyższe, podczas gdy na termina późniejsze niższe ceny ofiarowują. — Inne produkta notują niezmiennie.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Salcburg. Na socyalno-demokratycznem zgromadzeniu ludowem uchwalono protest przeciw przyjętej przez salcburską radę miejską reformie wyborczej. Uczestnicy zgromadzenia urządzili potem demonstracyę przed ratuszem i domem radnego miejskiego Straniaka.

Rzym. Izba deputowanych obradowała nad przedłożeniem o upaństwowieniu kolei żelaznych i uchwaliła 268 głosami przeciw 112 porządek dzienny, zawierający wyraz zaufania do rządu. Następnie odroczyła się Izba na nieograniczony czas.

Karlsbad. Przybył tu prezydent węgierskich ministrów baron Fejerwary.

Radmer. Cesarz Franciszek Józef wraz z ks. Leopoldem bawarskim i synami jego Jerzym i Konradem przybył tu wczoraj popołudniu na łowy dworskie.

Tanger. Renschhausen, szef niemieckiego domu handlowego Bongernd i Kreitemann, podpisał umowę z sułtanem marokańskim w sprawie budowy portu, kosztem 1,360.000 marek.

Petersburg. Prezydentem policyi (gradonaczalnikiem) w Moskwie (w miejsce zastrzelonego niedawno hr. Szuwałowa) zamianowany został pomocnik szefa sztabu korpusu żandarmeryi, Medem.

Szepesvarlaja. Miasto nawiedziła straszna pożoga. Spaliło się 300 domów mieszkalnych. Sześć osób utraciło życie. Przeszło 500 mieszkańców jest bez dachu w największej nędzy. Także w sąsiedniej gminie Kolbach spłonęło 36 domów.

Konstantynopol. Uwięziono wszystkich urzędników bułgarskiego towarzystwa żeglugi. Pogłoska, jakoby sprawca zamachu był Bułgarem, dotąd nie znalazła potwierdzenia. W dniu zamachu zniknął przybyły tu niedawno rosyjski poddany, nazwiskiem Rip, który był rzekomo komisyonerem. Powóz, który podczas zamachu odegrał pewną rolę, należał podobno do niego.

Petersburg. W okolicy Kiszyniewa w miasteczku Ryszkany, przyszło w piątek do antysemickich zaburzeń. Żydzi bronili się rewolwerami przed rabującymi chłopami. Zabito 18 żydów i kilkuset poraniono. Splondrowano znaczną ilość domów żydowskich.

(Depesze popołudniowe).

Rzym. Przed zamknięciem Izby odegrała się jeszcze straszna scena, przypominająca najgorsze i najskandaliczniejsze sceny parlamentu austryackiego.

Deputowany Santini powstał i rzekł: „Ponieważ to pierwszy raz Izba obraduje w dzień 29 lipca, w tę smutną rocznicę dnia, w którym zamordowano nikczemnie najlepszego z królów, przeto stawia wniosek, aby prezydyum Izby wysłało wieniec z wyrazami wdzięczności i wierności na grób króla Humberta, a wypowiedziało słowa współczucia dla jego syna i dla jego wdowy królowej Małgorzaty".

Ferri, przywódca socyalistów: „Jakież jeszcze głupstwo pan wymyślisz?" Santini (do Ferrego): „Wstydź się pan!" Ferri do Santiniego: „Milcz dworaku!" Santini do Ferrego: „Bydlę bez uczuć ludzkich!"

Powstaje hałas straszny, socyaliści zaczynają obrzucać posłów ostatnimi wyrazami, posłowie wszystkich innych stronnictw dają im w rozmaity sposób do poznania swoją pogardę, prezydent dzwoni, ale tumult nie ustaje, Santini stentorowym głosem krzyczy w stronę socyalistów: „Jesteście najpodlejsi z pajaców, bo dla przypodobania się swoim stronnikom, wyzbywacie się wszelkich uczuć ludzkich!"

Wreszcie prezydentowi udaje się uspokoić Izbę, powstaje chwilowa cisza.

Prezydent: „Ponieważ wniosek posła Santiniego wypowiada uczucie większości Izby, a raczej wypowiada uczucie całej Izby...

Grupa socyalistów woła: „Nie, nie, naszych uczuć nie wypowiada, protestujemy! Niech żyje rzeczpospolita!"

Na to cała Izba zaczyna wrzeszczeć: „Niech żyje król!" Socyaliści świszczą i gwiżdżą w klucze, niektórzy z nich wkładają dwa palce do ust i jak ulicznicy poczynają gwizdać. Jeden z deputowanych pokazuje pięści socyalistom, a na to inny deputowany, szewc z Medyolanu, woła: „Dworacy, lokaje!"

Prezydent (kończąc): Więc ponieważ żadnego innego wniosku nie postawiono, przeto jutro o godz. 11 uda się prezydyum Izby do króla z wyrażeniem mu swego współczucia. Kto z panów deputowanych zechce się przyłączyć do prezydyum, to bardzo proszę.

Głosy: „Wszyscy pójdziemy!"

Ferri woła: „My nie pójdziemy!"

Guerci krzyczy: „Wszyscy pójdziemy z wyjątkiem hołoty!" Powstaje szalony hałas. Posłowie grożą sobie nawzajem pięściami i mówią sobie impertynencye. Prezydent wkłada kapelusz na znak, że posiedzenie zamknięte.

Bazylea. Na kongresie syonistów wywołała ogromną burzę następująca sprawa. Prof. Warburg, jako referent komisyi, wybranej przez poprzedni kongres celem urządzenia ekspedycyi do Afryki wschodniej (t. j. do Ugandy), odczytał swój referat. Pan Greenberg postawił wniosek, aby wyrazić uznanie członkom ekspedycyi, a wdzięczność władzom angielskim. Pan Zangwill, znany nowelista, stawia wniosek, aby kongres przyjął wspaniałomyślną propozycyę rządu angielskiego, zwłaszcza, że rząd ten oświadczył gotowość oddania żydom innego terytoryum, jeżeli uznają, że Uganda nie nadaje się do kolonizacyi. Pan Montefiore wyraża przekonanie, że żydzi powinni tylko wyłącznie kolonizować Palestynę i, występując przeciw Zangwillowi, proponuje wszystkie siły świata izraelickiego obrócić na kolonizacyę Palestyny.

W chwili tej zapisuje się do głosu przeszło stu mówców. Prezydyum proponuje, aby wybrano 4-ech mówców jeneralnych: dwóch za Ugandą, a dwóch za Palestyną.

Dr. Syrkin oświadcza, że jego zdaniem nie należy krępować swobody dyskusyi, a właśnie wybór jeneralnych mówców byłby takim skrępowaniem, stawia więc wniosek, aby przemawiali wszyscy, którzy zapisali się do głosu.

Prezydyum poddaje pod głosowanie wniosek dra Syrkina i wniosek ten zostaje odrzucony znaczną większością głosów. Na to mniejszość poczyna robić piekielny wrzask: tupać nogami, krzyczeć, gwizdać; prezydyum widząc, że uspokoić zebrania nie może, zamyka posiedzenie.

Nazajutrz rano, kiedy rozpoczęło się znowu posiedzenie, tłum żydów wtargnął do sali i zaczął się bić z delegatami kongresu. Prezydyum zawezwało policyę, a ta aresztowała kilkudziesięciu młodych ludzi, nie należących do kongresu. Po spisaniu protokołu wypuściła ich, ale nie pozwoliła wcale wejść do gmachu, w którym się kongres odbywa. Kongres prowadzi dalej dyskusyę nad kolonizacyą Ugandy.

Warszawa. Dziennik żydowski *Hasman* donosi, że w tygodniu zeszłym wyjechało z Warszawy do Góry Kalwaryi kilkunastu młodych żydów, którzy zaczęli tam agitacyę nielegalną. Żydowscy mieszkańcy Góry rzucili się na nich, pobili i poranili ich, a potem oddali ich w ręce policyi.

Petersburg. Rosyjskie urzędy celne otrzymały rozkaz bezwarunkowo nie wpuszczać żydów zagranicznych do Rosyi.

Berdyczów. Tutejsza rada miejska uchwaliła wystosować do władzy wyższej prośbę, aby do Berdyczowa i okolic nie stosowano prawa, zabraniającego żydom nabywania ziemi od włościan i obywateli ziemskich. W petycyi wykazano, że to ograniczenie jest zarówno szkodliwe dla chrześcijan, jak i dla żydów i że wartość gruntów w tamtych stronach jest wskutek tego zakazu bardzo niska.

Petersburg. Agencya petersburska zaprzecza doniesieniom pism zagranicznych o niesubordynacyi w wojsku rosyjskiem, o dezercyach, oraz doniesieniu jednego z dzienników wiedeńskich o krwawem starciu litewskiego pułku gwardyi z kozakami w Warszawie.

Londyn. Korespondent *Daily Telegraph*, jadący na okręcie „Kaiser Wilhelm," donosi za pomocą telegrafu bez drutu, że Witte przeziębił się i nie pokazuje się wcale na pokładzie, a jada osobno ze swoimi towarzyszami podróży, członkami misyi rosyjskiej. Raz tylko udało mu się z nim rozmawiać, a wtedy zapewnił go pod słowem honoru, że nie otrzymał żadnych nowych instrukcyj z Petersburga i że w usposobieniu cara co do pokoju nie zaszła absolutnie żadna zmiana, mniemanie zatem, że zjazd cesarzy w Björkö wpłynie na traktat pokojowy z Japonią jest zupełnie błędne.

Petersburg. Ponieważ już rząd zamknął dwa dzienniki: *Słowo* i *Nowosti*, a wkrótce ma zamknąć *Birżewyja Wiedomosti*, przeto komitety rewolucyjne uchwaliły wydawać potajemnie swoje pisma i w nich ogłaszać wszystkie wiadomości wojenne.

Londyn. Izba lordów przyjęła ustawę ograniczającą immigracyę cudzoziemców do Anglii.

Paryż. Pływak francuski p. Burges usiłował wczoraj przepłynąć kanał la Manche. O godzinie 7 m. 45 wszedł do morza w Dowrze, żegnany na molo przez tłumy publiczności. W pierwszych trzech godzinach zrobił 8 klm., płynął doskonale, robiąc po 28 ruchów rąk na minutę. Potem już płynął powolniej i kilka razy zażądał cukru i likierów od łodzi, które mu towarzyszyły. O godz. 3 popołudniu oddzielały go już tylko 18 klm. od brzegu francuskiego, kiedy zaczął nagle wiać wiatr nadzwyczaj silny, morze się ogromnie wzburzyło i powstawać zaczęły fale tak wielkie, że nie było możności dalej płynąć. Nawet łodzie cofnęły się do wielkiego okrętu, który im towarzyszył, bo była obawa, że poprzewracane będą. Burges musiał wsiąść na okręt.

Berlin. Nowy traktat handlowy niemiecko-bułgarski wczoraj podpisali delegaci rządów niemieckiego i bułgarskiego.

Nowy Orlean. Wczoraj zmarło tu na żółtą febrę 7 osób, a 29 zachorowało. Z wyjątkiem jednej osoby, wszyscy zmarli byli albo Włochami, albo austryackimi poddanymi.

Dees (w Siedmiogrodzie). Wczoraj odbyło się tu konstytujące zgromadzenie nowego stronnictwa komitatu Szolnok-Doboka, w którem wzięli udział także bar. Banffy i kilku deputowanych. Banffy wygłosił długą mowę, przyjętą przez tłum kilkotysięczny żywymi oklaskami; dał w niej historyczny pogląd na powstanie nowego stronnictwa; wskazał na to, że zaraz na początku walk prawnopaństwowych podniósł był konieczność nowego stronnictwa.

Rozwiązanie przesilenia możliwe jest tylko drogą przywrócenia ufności wzajemnej między Koroną a narodem. Wyjaśnienie stosunków może nastąpić tylko na zasadzie z r. 1867; na niej spoczywa życie państwowe Węgier. Pod tym względem nie ma też różnicy zdań. Stronnictwa koalicyjne jednomyślnie przyjęły za podstawę rokowań adres do króla w myśl zasad z r. 1867. Adres ten zawiera program gabinetu, który ma być wybrany z szeregów koalicyi. Przez przyjęcie tego adresu wszystkie stronnictwa dopomagają do zwycięstwa chorągwi nowego stronnictwa. Mówca jak dawniej tak i teraz jest zwolennikiem dualizmu. W ramach dualizmu należy zbudować jednolite narodowe państwo węgierskie. Następnie Banffy omawiał znany program nowego stronnictwa i wzywał słuchaczy, ażeby wytrwali w przeprowadzeniu tego programu.

Budapeszt. Socyaliści urządzili wczoraj zgromadzenie, a następnie demonstracyjny pochód po mieście, w którym wzięło udział 20,000 robotników. Uchwalono rezolucyę domagającą się powszechnego prawa głosowania.

Niżny Nowgorod. Robotnicy fabryki Sormowa i robotnicy portowi, tudzież pracownicy zajęci na parowcach załatwiają spokojnie swe zajęcia i jawnie okazują zamiar oparcia się agitatorom, którzy usiłują wywołać zaburzenia i zakłócić spokojny przebieg jarmarku. Co się tyczy rozruchów w ubiegłym tygodniu, to stwierdzono, że zaburzeń antisemickich nie było. Obecnie panuje zupełny spokój. Nie ma powodu do obawiania się nowych rozruchów. Jarmark ożywia się powoli. Z Syberyi, Azyi środkowej i Persyi oczekiwani są kupcy w wielkiej liczbie. Wiele oznak wskazuje, że towary będą miały wielki odbyt.

Wojna.

Tokio. Rosyjskie siły wojenne, które walczyły w Sachalinie z Japończykami liczyły 5000 piechoty i 12 armat.

Tokio. Japończycy wyparli d. 28 lipca Rosyan z okolicy Rykowska na Sachalinie i zajęli to miasto, przyczem przyszło do gwałtownych walk ulicznych. Następnie natarli Japończycy na oddział rosyjski w pobliżu Rykowska i zmusili go do ucieczki. 200 Rosyan padło, 500 dostało się do niewoli.

HOTEL FRANCUSKI

Lwów — Plac Maryacki.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 31 lipca. S. Sołdraczyńscy i A. Krause z Krakowa. Z. Kurmanowicze ze Zborowa. T. Sweryda, O. Zacharyn i J. Zadurecki z Pukowa. M. Zarkower z Grzymałowa. H. Apffelstadt z Lipska. A. Bogdański ze Złoczowa. T. Gutowski z Rosyi. J. Janiccy z Żytomierza. H. Kutschera, J. Hudzikowski i R. Schütz z Wiednia. N. Rosental z Borysławia. P. Leszczyński z Kamionki. B. Obfidowicz z Sanoka. F. Daum z Podhajec. K. Hausberger z Czortkowa. M. Willer z Pragi. K. Feike z Lincu. K. Radziejewski ze Stanisławowa. S. Krechowiecki z Ubienia.

HOTEL EUROPEJSKI

ALBERT SZKOWRON.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 31 lipca. M. br. Błażowski z Nowosiółki. Dr. Szpunar z Łańcuta. Dr. W. Ramert z Jarosławia. J. Filipowski z Kocowa. S. Mareszowa z Komarówki. J. Grunwald z Worochty. H. Lauterbach z Wrocławia. J. Longchamps Borysławia. O. Schreyer ze Złoczowa. E. Kurowski z Podola ros. H. Hecher i J. Stieglitz z Wiednia.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Budapeszt 31 lipca. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i za 100 kilogramów). Pszenica na październik 16·02—16·04, na kwiecień 16·56—16·58; żyto na październik 12·90—12·92; owies na październik 11·56—11·58; kukurudza na lipiec 00·00—00·00, na maj 1906 r. 12·04—12·06. — Rzepak na sierpień 00·00—00·00. — Oferty na pszenicę: dość dobre. — Chęć kupna mierna. — Usposobienie: ustalone. Pogoda: piękna.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30) Wiedeń 31 lipca.

Marki 117·38, renta majowa 100·55, węgierska renta koronowa 96·95, akcye: austr. zakł. kredyt. 665.25, węg. zakł. kred. 783·00, anglobanku 310.00, unionbanku 544·00, bankvereinu 554.50, länderbanku 455.00, kolei państw. 674·75, lombardy 86·50, akcye kolei Elbethal 444.00, fabryki broni 565·00, tytoniowe 000·00, alpiny 533·50, Rima Muranyi 551·50, prag. Tow. żel. 2678.00, losy tureckie 142·25, ruble 253·00. Usposobienie: silne.

Ruch pociągów kolejowych.

ważny od 1 maja 1905 według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1.30**, **8.40***. 6.00, 8.50, 5.25, 9.50*.
Z Rzeszowa: 10.35.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2.30**, 7.20, 11.55, 5.30, 10.20*; na Podzamcze: **2.15**, 7.00, 11.34, 5.15, 10.02*.
Z Czerniowiec: **12.20***. **1.40**, 6.10, 5.45, 9.10*.
Z Kołomyi: 10.05.
Z Stanisławowa 8.05.
Z Rawy i Sokala: 7.50.
Z Jaworowa: 8.18, 4.32.
Z Sambora: 8.15, 1.50, 9.20*.
Z Ławocznego 7·29, 11·45, 10·50*.
Z Tuchli 3·45 (od 15/6 do 30/9).
Z Bełzca 5·00.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa. **12.45***, **8.25**, **2.50**, 4.15*, 8.55, 6.55*, 11.00*
Do Rzeszowa: 4.10.
Do Podwołoczysk z dw. głów.: **2.00**, 6.30, 10·55, 9.00*, 11.05*; z Podzamcza: **2.13**, 6.43, 11.15, 9.28*, 11.24*.
Do Czerniowiec: **2.51*** **2.40**, 6.15, 9.20, 10.40*.
Do Stryja: 11.10*.
Do Rawy i Sokala: 7.30*.
Do Jaworowa: 6.55, 5.58.
Do Sambora: 9.00, 4.20, 10.55*.
Do Kołomyi i Żydaczowa: 5.50.
Do Przemyśla, Chyrowa: 10.05* (od 1/5 do 30/9)
Do Ławocznego 7.30, 2.55, 6.25*,
Do Bełzca 11.10.

Pociągi lokalne.

Przychodzą do Lwowa:

Z Brzuchowic: (od 14 maja do 10 września) 6.50, 7.50, 9.5*, przedpołudniem, tylko w niedziele i rz. kat. święta, 1.46, po południu, tylko w niedzielę i rz. kat. święta 3.05, 4.16 5.00, 7.41*, 8·55* (od 14/5 10/9 włącznie).
Z Janowa: 8.18, 1.15, (od 1/5 do 30/9) 4.32, 8.45* (od 14/5 do 10/9) 9.25* (od 14/5 do 10/9 w niedziele i święta)
Ze Szczerca: 10.10* (od 1/6 do 10/9 w niedziele i święta)
Z Lubienia W.: 11.52* (od 14/5 do 10/9 w niedz. i święta)

Odchodzą ze Lwowa:

Do Brzuchowic: (od 14 maja do 10 września) 5.50*, 8.30, (tylko w niedziele i rz. kat. i święta); 12.30, popołudniu (tylko w niedziele i rz. kat. święta) 2.10, 3.20, 6.10, 7.30*, 7.55*.
Do Janowa: 6.55, 9.15, (od 1/5 do 30/9) 1.35 (od 14/5 do 10/9 w niedziele i rz. kat. święta) 3.08, (od 14 maja do 10 września) 5.56.
Do Szczerca: 1.55 (od 1/6 do 10/9 w niedzielę i święta).
Do Lubienia W.: 2.15 (od 14/5 do 10/9 w niedz. i święta)
Do Rawy Ruskiej 11·15* (każdej niedzieli).

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano

36)

Kradzież miliona funtów.

(Opowiadanie starego kawalera.)

(Ciąg dalszy).

Odmówiłem dawno zapomniany hymn i gotowałem się na śmierć z rezygnacyą i żalem za wszelkie grzechy mojego żywota. Przez całe popołudnie zajęty byłem żłobieniem na ostruganej z drzewa deszczułce imienia mojego, nazwiska i wieku. Był to trud nielada. Wreszcie z pod rąk moich wyszło następujące *epitaphium:*

Tu spoczywają śmiertelne szczątki
JOHNA RAMSAY
marynarza,
który ginąc z własnej ręki,
głodowej śmierci uniknął i padł ofiarą rozpaczy.

Słońce kłoniło się już ku zachodowi i zaglądało mi prosto w oczy, jak gdyby na urągowisko. Oddawna już wybrałem ustronie na wieczny spoczynek i tam skierowałem moje kroki. Zakopałem deskę z napisem na miejscu, gdzie miały runąć moje martwe zwłoki.

Gdy wszystkie przygotowania zostały już ukończone, począłem ostrzyć nóż o kamień, przerywając sobie to smutne zajęcie, aby na słońce spojrzeć. Wisiało już zaledwie o ósmą część cala nad powierzchnią wód. Postanowiłem przerwać pasmo życia w chwili, gdy się stoczy za morze.

Po raz wtóry od przybycia na tę wyspę przed oczyma mojemi przemknęło całe moje życie. Widziałem szkołę w Plymouth, sir Beniamina w East India Avenue, Maud i moją drogą matkę. Tu kończyła się jasna strona mojego żywota. Potem horyzont się zaciemniał: kłótnia z Maud, ciągłe zmiany profesyi, choroba, zawody, wreszcie śmierć Marka, składały się na jeden nieprzerwany łańcuch niedoli. Myśląc o tem, mniej żałowałem życia.

Słońce już do połowy skryło się w morzu, podnosiłem już broń morderczą.

W chwili tej właśnie o jakie pięćdziesiąt łokci od miejsca, na którem stałem, coś się poruszyło nad brzegiem. Zaciekawiło mnie, co to takiego i ta ciekawość uratowała mi życie, bo nagle straciłem ochotę do samobójstwa i puściłem się pędem w stronę owego punkciku. Był to żółw. Zanim zdołał umknąć, przebiłem go ostrym nożem. W mgnieniu oka obrałem skorupę, pokrajałem i zjadłem surowe mięso chciwie, łakomie. Nic mi w życiu tak nie smakowało, jak ta zaimprowizowana potrawa.

Zjadłszy, ile tylko mogłem, resztę zaniosłem w miejsce bezpieczne i ukląkłem, aby podziękować Bogu, że mi życie powrócił. Gdyby nie ten żółw, leżałbym już martwy.

Otucha wstąpiła w me serce. Wstałem, postanawiając szukać pożywienia.

Szczęście zwróciło się ku mnie znowu: po drugiej stronie wyspy znalazłem drugiego żółwia, tłustszego jeszcze. Zaniosłem go do obozowiska, obrałem ze skorupy i zagrzebałem w ziemi obok szczątków pierwszego.

Owej nocy spałem wybornie i nazajutrz wstałem z lekkiem sercem. Na śniadanie dokończyłem pierwszego żółwia i poszedłem nad brzeg, aby upatrywać, czy jakiś statek nie płynie. Jak zwykle, na morzu było pusto. Stwierdziwszy ten smutny fakt, wróciłem znowu na wyspę i dla zabicia czasu zniszczyłem własny nagrobek, zamierzając natomiast wznieść tablicę pamięci Venedy.

Zajęło mi to więcej, niż połowę dnia; gdym wyrył napis na drzewie, poszedłem szukać grobu; ale roślinność w tych strefach jest tak bujną, że już świeża mogiła tak zarosła, iż z trudnością zdołałem ją wśród wysokich traw odnaleźć.

Wbiłem tablicę z napisem, który miał świadczyć o miejscu wiecznego spoczynku życiowego rozbitka. Po ukończeniu tej roboty dążyłem do obozowiska na obiad. Odwróciłem się raz jeszcze i bezmyślnie prawie, z przyzwyczajenia, spojrzałem na morze. I nagle nogi podemną zadrżały. Statek jakiś płynął ku wyspie.

Przez chwilę z wielkiego wzruszenia stałem jakby do miejsca przykuty. Potem rozpacz mnie ogarnęła: czy zdołam zwrócić na siebie uwagę? I w jaki sposób to uczynię?

Nie mogłem roznieció ogniska, należało więc obmyślić co innego. Ułamałem dużą gałęź i pobiegłszy do obozowiska, na końcu tej grubej gałęzi przywiązałem moją kurtkę, następnie wbiegłem na najwyższą skałę i co sił zacząłem powiewać owym sztandarem.

Statek zbliżał się szybko. Mogłem już dojrzeć, że to wspaniały yacht. O dwie mile od wyspy wywiesił flagę. Nie zdołałem na taką odległość poznać jej barw, zrozumiałem tylko, że to odpowiedź na mój sygnał i coraz gwałtowniej powiewałem moim sztandarem, biegnąc do brzegu.

Potem zobaczyłem wyraźnie, że z yachtu spuszczają łódkę. Gdy płynąć zaczęła ku mnie, padłem na kolana i rozpłakałem się, jak dziecko.

Wreszcie łódź zbliżyła się do brzegu, wskoczyłem w nią, pijany szczęściem.

U steru siedział jakiś młodzieniec; spojrzał na mnie ostro i nie dziw, bo musiałem wyglądać strasznie.

— Przysłano mnie, abym zobaczył, kto tu jest. Czem mogę panu pomódz? — zapytał.

— Zabierzcie mnie ze sobą, zabierzcie, ja umieram! — wołałem.

Zdawało mi się doprawdy, że życie ze mnie uchodzi, straciłem przytomność. Co było potem, nie pamiętam.

ROZDZIAŁ V.

Ramsay dawnych znajomych spotyka.

Gdy do przytomności wróciłem, w pierwszej chwili zdawało mi się, że jestem jeszcze na wyspie, złudzenie to zwiększał ustawiczny szmer (jak się potem dowiedziałem, od machiny) przypominający szum morza.

Obejrzawszy się jednak, zobaczyłem, że nie leżę ani na piasku nadbrzeżnym, ani na skale, tylko w wygodnej kabinie, zawierającej łóżko, fotel, kanapę i rodzaj biurka, na którem porozrzucane były fotografie.

Przypomniałem sobie nagłe ukazanie się okrętu, moje wysiłki dla zwrócenia jego uwagi i wreszcie nadesłany mi ratunek. W chwili tej otworzyły się drzwi i weszło dwóch ludzi: wysoki, siwy gentleman o twarzy arystokratycznej i poważnej, a za nim jasnowłosy, modrooki młodzieniec, wesołego widocznie usposobienia, wyglądający na Irlandczyka. Za nimi wsunął głowę stewart, w którego kabinie leżałem, ale nie wszedł, tylko stał na korytarzu. Irlandczyk wszczął rozmowę.

— Sir Ryszardzie — rzekł, widząc, żem się obudził — przegrałeś zakład. Patrz, do przytomności wraca. Będzie zdrów. No, jakże się czujesz, mój chłopcze? — rzekł do mnie.

Odpowiedziałem, że jestem prawie zdrów, lecz, że chciałbym wiedzieć na jakim statku się znajduję i komu moje ocalenie zawdzięczam. Z głosu i mowy poznał widocznie, żem jest człowiekiem inteligentnym, bo odrazu ton zmienił i zbadawszy mój puls, rzekł:

— Zdrowszy pan jesteś, niż wczoraj, gdyś majaczył o jakimś Albinosie, o grzebaniu zwłok. Chcesz pan wiedzieć, gdzie jesteś? Na pokładzie „Esmeraldy", yachtu sir Ryszarda Tremorden, któremu ocalenie zawdzięczasz. Pozwoli pan, że go przedstawię, sir Ryszardzie.

Odwróciłem się do poważnego gentlemana i chciałem mu dziękować, ale on mi przerwał.

— Nie mówmy o tem, panie... zająknął się, czekając, aż mu moje nazwisko wymienię.

— Ramsay — dodałem.

— Nie mówmy o tem, panie Ramsay — powtórzył. — Cieszę się, że miałem sposobność to uczynić. Przypadkowo tylko zboczyliśmy w stronę tej wyspy, droga nasza bowiem bardziej na wschód prowadzi. Daruje mi pan to pytanie, ale chciałbym się dowiedzieć, jakim sposobem dostałeś się pan na tę wyspę bezludną?

Chciałem już rozpocząć moją historyę, ale dr. Sullivan — takie bowiem nosił nazwisko, jak się dowiedziałem później — nie pozwolił mi się męczyć.

— Nie, nie, sir Ryszardzie, nie teraz — protestował. — Muszę użyć mojej lekarskiej władzy i ustrzedz pana od ciekawych pytań, bo nie masz pan jeszcze dość siły, aby odpowiadać na nie. Zresztą, sir Ryszardzie, krzywdzisz damy, odejmując im możność dowiedzenia się najpierw tych szczegółów.

— Ha! trudna rada, musimy tu wszyscy pana słuchać — odparł sir Tremorden. — Williams! — rzekł do stojącego we drzwiach stewarta.

Ten zbliżył się dla wysłuchania rozkazów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny. **Wacław Masłowski**

Papier z fabryki Braci Fiałkowskich.

Z drukarni E. Winiarza.